Nr. 34. Lwów, Niedziela dnia 22. Sierpnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŹNE UWAGI.

XXXIV.

I n f a m j a.

Są czyny, których na szczęście mowa nasza nie może należycie określić; po wyraz stosowny trzeba uciec się chyba do obcego języka. Odszczepieństwo nie zawsze jest nikczemnem — w nikczemności nie zawsze mieści się odszczepieństwo; ale jest czyn, w którym czuć oba te pojęcia razem, a ten przywykliśmy nazywać **infamją**.

Takiego czynu dopuścił się czynny członek Akademji krakowskiej, pan Antoni Walewski. Warto, aby imię i nazwisko tego uczonego utkwiły w pamięci wszystkich Polaków.

We właściwem miejscu znajdzie dziś czytelnik sprawozdanie z najnowszego jego dzieła, które ostatniemi czasy pojawiło się w Krakowie. Publikacja ta jest faktem, zasługującym na miano, jakieśmy jej nadali. Pan Antoni Walewski, z nazwiska Polak, a wskutek nieszczęśliwego wyboru członek najwyższej polskiej instytucji naukowej, tej Akademji krakowskiej, której założenie z taką radością zostało przez kraj przyjęte — fałszując dzieje narodu, który niestety wydał go ze swego łona i własnym chlebem wykarmił, plwa w swojej *Filozofji dziejów polskich* na całą Polskę, i z cynizmem, który u niego jest prawdziwym, mimo że go trudno pojąć, każe nam wielbić Katarzynę II., Targowiczan, Mikołaja i Aleksandza II.! Ani Moskale, którzy nas nienawidzą, lękając się naszej przewagi moralnej; ani Niemcy, którzy nas lubić nie mogą, gdyż zbyt bliskimi jesteśmy ich sąsiadami, a to samo jest już dostatecznym powodem do nieprzyjaźni między dwiema rasami, — nie ośmielili się dotąd zaprzeczać nam cnót, dzięki którym nie zginęliśmy jeszcze. Zaprzecza nam ich jednak p. Antoni Walewski nazywając najpiękniejsze nasze usiłowania: zbrodnią i hańbą. On chce, abyśmy razem z nim poszli i przed carem moskiewskim wybijali pokłony; on chce, abyśmy lizali rękę, która nas morduje; on chce, abyśmy dla złudnej ideji monarchicznej wyrzekli się sprawiedliwości, sumienia i życia! Ale nie każdy urodził się niewolnikiem, nie każdemu wygodnie w obroży, nie każdy upadł tak nisko, jak autor *Filozofji dziejów polskich!* To też jak kraj długi i szeroki, dla autora tej ohydnej książki każdy Polak znajdzie w swojem sercu tylko pogardę.

Na to zasłużył sobie autor, nie mający żadnej nauki, a umiejący plwać tylko; ale na co zasłużył sobie czynny członek Akademji krakowskiej? Na to niech Akademja odpowie.

Gdyby p. A. Walewski był cudzoziemcem, a z nazwiska tylko Polakiem, z łatwością udowodnilibyśmy mu zupełne nieuctwo, a polemikę zakończyli twierdzeniem, że się Moskwie zaprzedał; ale ponieważ p. A. Walewski, powołany jako polski uczony do Akademji, występuje jako Polak i jako jej członek czynny, przeto musimy odezwać się do tej instytucji, która taką osobistość cierpi w swojem łonie. Autor *Filozofji dziejów polskich* czytał ten paszkwil na posiedzeniu Akademji, a w jej łonie nikt się nie znalazł, któryby wystąpił z protestem? Książka pojawiła się w druku, nieprzyjaciele nasi mogą z niej kuć broń przeciw nam, a krakowska Akademja milczy! Czyżby milczeniem miała przyznawać, że potwierdza zapatrywania swego członka? Ani na chwilę nie chcemy w to uwierzyć — raczej przypuszczamy, że Akademja złożona przeważnie z ludzi podeszłych, którym brak już jasnego poglądu na naukę i życie, nie zorjentowała się jeszcze w zagmatwanem położeniu, i dotąd nie wie co czynić. Ale ta nieświadomość nie może trwać długo. Jeżeli Akademja nie da należytej odprawy dziełu swojego członka; jeżeli nie zamanifestuje się, że jest Akademją polską, stojącą przedewszystkiem na straży polskiej wiedzy i polskiego ducha, to żałując że tak zgubna instytucja została w życie wprowadzoną, kraj cały będzie zmuszony odwrócić się od niej, jak ona od niego się odwraca.

Niech ludzie stojący nad grobem nie wierzą w odrodzenie narodu; niech fałszywi uczeni, którzy umiejętności o krok jeszcze nie posunęli, uważają się za alfę i omegę wszelkiej mądrości; niech zaprzedani historycy utrzymują, że tylko nasi tyrani są naszymi dobroczyńcami — kraj odpowie im na to, że on stokroć od nich potężniejszy, gdyż chcąc, rzuci im pioruny na głowy i zgniecie odszczepieńców!

Słowa nasze może nadto namiętne — ale spokojnie niechaj ten pisze, kto spokojnie otrzymuje policzki.

TRUCIZNA.

Powieść

PAULINY z L. WILKOŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Elegancko i nader ładnie ubrana, wsiadła Klara do powozu nazajutrz z mężem, by oddać wizytę pani radczyni. Zostali przyjęci i do pięknego wprowadzeni salonu. Powitał ich pan radzca i prosił, by weszli do buduaru żony.

— Biedaczka cierpi trochę na fluksję i w swoim zacisznym przebywa kąciku.

Był to kącik z wielkim przybrany smakiem, a sama pani, młoda, ładna, powabna— w wygodnem ale harmonijnem ubraniu, z otoczeniem swojem wdzięczną stanowiła całość. Była właśnie zajęta prześliczną robotą krzyżową. Klara podziwiała wzór i dobór kolorów.

— Jest to cząstka dużego dywanu — objaśniła pani radczyni — który haftuję, by wszystko w tym buduarku było z sobą zgodne.

Klara spojrzała w około: kanapka, poduszki, foteliki, taburety, podnóżki — wszystko było piękną krzyżową robotą pokryte.

— Pani sama wszystko wyhaftowałaś?— zapytała.

— Sama, i z przyjemnością nieokreśloną.

— Och, wierzę! Bardzo wierzę! Lucku, i ja do pokoju jednego wszystkie meble po-

kryję moją robotą. Jakież to przyjemne będzie zapełnienie czasu!

— Nie chciało mi się odrywać od mojej kanwy i włóczek — uśmiechnęła się pani radczyni — i rada jestem, że mam jeszcze dywan do roboty.

— Napiszę jutro zaraz do Warszawy. Sprowadzę sobie wzory, kanwę i włóczki. Klara uchwyciła się gorączkowo tego zamiaru, bo czuła potrzebę zajęcia.

Pani radczyni dała jej pod tym względem niektóre wskazówki.

Ten mały wizytowy epizod szczęśliwie wpłynął na Klarę. Ułożyła projekt powzięty z wielkiem zamiłowaniem, i mówiła o nim nawet Albertowi, gdy do nich przyszedł wieczorem.

W tydzień potem dawali państwo radzcostwo duży wieczór z tańcami. Trzebiewscy otrzymali także zaproszenie. Klara nie okazała bynajmniej chęci być na nim; wolała własne domowe wieczorki... Lucjan namówił ją jednak.

Wieczorem przybył do nich Albert. Po chwili wyszedł Lucjan po cygara do swojego pokoju.

— W środę będzie wielki wieczór u państwa radzcostwa — zagadał Złotowiecki do Klary — otrzymałem zaproszenie, ale nie będę.

— Nie? — zdziwiła się nieprzyjemnie dotknięta; bo i czyliżby się zabawiła, gdyby jego tam nie było? — Dlaczegóż pan być nie chcesz?

— Znudziłbym się... A wolę przyjść do państwa — wymówił ze znaczącym przyciskiem — jeżeli pani pozwolisz — dodał ciszej.

Klara zapłonęła.

— Ależ my będziemy na tym wieczorku! — zawołała.

— Będziecie państwo! — oczy jego pojaśniały — to i ja będę A zamawiam panią do pierwszego mazura. Czy pani nie odmówisz?

— Owszem.. zaproszenie przyjmuję

— Inaczej nie tańczyłbym wcale.

Lucjan powrócił.

Klara na wieczór ów śliczne balowe miała ubranie; suknię z białej krepy, przybraną jedynie rulkami z atłasu. We włosach sznury pereł, toż samo na szyi — i kolczyki z perłami. Wyglądała uroczo, a niby skromnie. Złotowiecki jej powiedział że wyższy gust okazała.

Mnóstwo zastali już osób. Salony wytwornie przybrane i oświetlone a giorno. Zwłaszcza buduar feerycznie wyglądał— jak ktoś powiedział.

Przedstawiono jej kilkudziesięciu mężczyzn, a pomiędzy tymi i pana Kaliksta Zerowicza — którego ciekawa zawsze była poznać, a właśnie dla tego, że o nim niepochlebne słyszała zdania.

Poślizgnęła zaraz w pierwszej polce z Albertem po szklistej posadzce — a potem przetańczyła z nim cudnego mazura. Tańce szły bardzo ochoczo.

W czasie dłuższej pauzy, gdy obnoszono chłodniki i wino, usiadła przy niej pani radczyni. Mówiły o zamierzonej przez Klarę pracy, o kanwie i włóczkach. Potem o teatrze — a wreszcie zapytała pani radczyni:

— Panią łączy przyjaźń z panią Klementyną Krężelską?

— Byłyśmy razem na pensji — odrzekła Klara — i ucieszyłam się bardzo, spotkawszy ją tutaj.

— Pani teraz zapewne widujesz ją często, bo ona czasem i dwa razy w tygodniu tu bywa.

— Miło mi zawsze, gdy ją powitam.

— Przyjemna to osóbka, ożywiona... a ma bardzo zacnego i prawego męża, którego cenimy wszyscy wysoce.

— Szczęśliwe małżeństwo...—wymówiła Klara bez myśli.

— Przeczyłabym temu. Bo podobno nie dobrali się wcale — wycedziła pani radczyni przez zęby.

— Jakto, pani?

— Pani Klementyna nie poszła z przywiązania za mąż, a pan Krężelski kocha ją szalenie.

— To i dla czegóż bez przywiązania jego żoną została?

— Sama wyznała przed kuzynką moją, że pana Stanisława nie kochała nigdy, że go nie kocha, ale poszła za niego, bo jej dobrą zapewnił pozycję... i pragnęła być swobodną i panią własnej woli. A w domu rodzicielskim ojciec trzymał surowo i krótko.

— Ależ to okropne! — Klarę nadzwyczaj cierpkie przejęło uczucie.

— Zapewne! Najgorzej wpłynęło, że ojciec był za surowym, a matka pobłażliwą do zbytku; rozpieściła ją i popsuła.

Pan Kalikst przystąpił i poprosił Klarę do kontredansa. Pani radczyni powstała i odeszła, by gdzieindziej spełnić obowiązki gospodyni domu.

Podczas kadryla, pan Kalikst coś jej także mówił o pani Klementynie. Między innemi: że jest jakby kreacją z romansiku à la mode. Potrącił o Julka Sieradzkiego i zapytał:

— Pani go znasz zapewne?

— Z widzenia tylko.

— Śliczny chłopiec, jakby Apollo. Dziwi mnie, że go tu nie ma. Pani Klementyna podobno nie wizytowała pani radczyni.

To, co jej radczyni powiedziała o Klementynie, w połączeniu z temi uwagami pana Kaliksta Zerowicza, — cały niemal popsuło jej humor. Towarzystwo było piękne, tancerzy miała dużo, wszystko zachęcało do zabawy, lecz mimo to dziwnie przykro było jej na duszy.

Po wystawnej wieczerzy i polonezie, z powrotem na salę zapytał ją Lucjan, czy chce dłużej pozostać.

— Już wracajmy. Jestem znużona — odrzekła.

— Każę zajść powozowi i przyjdę po ciebie. Wyniesiemy się cichaczem.

— Pani chcesz odjechać? — zapytał Albert, przystępując do niej.

— Mam już dosyć tańców — przymusiła się do uśmiechu.

— Pani wiele tańczyłaś. Ja tylko polkę, mazura i kotredansa z panią domu; c'était de rigueur.

Lucjan skinął na żonę. Posunęła się ku drzwiom i wyszła do drugiego pokoju. Odjechali.

Klara przed zaśnięciem przebiegła w myśli wszystko, co słyszała. I nazajutrz jeszcze myślała o tem, aż wreszcie coś innego niemiłe stłumiło wrażenie. Lucjan jednak nie dowiedział się o niczem. Przemilczała w obec niego wszystko — sama nie wiedząc dlaczego.

IX.

Państwo Krężelscy przybyli do W.... W teatrze zastała ich Klara obok loży swojej i rada była z tego sąsiedztwa.

— Nie spuściłem się tym razem na pamięć Klimeni — wymówił pan Stanisław — i sam lożę kupiłem.

— Dziś byłabym pamiętała dobrze — bom tylko o tem marzyła, ażeby Klarci zrobić niespodziankę.

— Dziękuję! — Klara uścisnęła jej rękę.

Po chwili wszedł do loży Krężelskich Juljan Sieradzki, i pan Stanisław przedstawił go Trzebiewskim. Niezadługo ukazał się także w loży swojej naprzeciw Albert Złotowiecki, i stojąc o poręcz krzesła oparty, uprzejmie pokłonił się Klarze.

Klementyna znała go, lecz z widzenia tylko.

Po pierwszym akcie zjawił się Albert w loży państwa Trzebiewskich, ale przed rozpoczęciem drugiego aktu wyszedł. Klara obejrzała się niespokojna za nim, bo wszakżeż chciała go na herbatę zamówić. Oby Lucjan nie zaniedbał tego!

Po drugim akcie zapraszała Klementynę z mężem, by z niemi herbatę wypili. Klementyna jednak podziękowała.

— Jestem niesłychanie znużona — tłumaczyła się — więc wybacz, że dziś odmówię. Jutro odwidzę cię zrana i nagadamy się dowoli. A jeżeli nie wyjedziemy, to wieczorem zaproszę się do was na herbatkę.

— Och, nie odjedziecie jutro! — zawołała Klara — nieprawdaż, panie? — zwróciła się do Krężelskiego — wszakżeż tu zabawicie jeszcze przez jutro.

— Jeżeli brat mój Wicuś przyjedzie, to nas zatrzyma.

— Przyjedzie! A gdyby i nie — wtrącił Lucjan — to czy też warto na godzin kilka do miasta przyjeżdżać?

— A na herbacie u nas będziecie? Trzymam za słowo! — prosiła Klara.

Pan Stanisław się pokłonił, a Klementyna podała jej rękę. Klara byłaby rada zaprosiła i pana Sieradzkiego, lecz nie wiedziała, jak począć, bo on tak się trzymał z daleka, chociaż siedział tak blisko.

Wyszli razem z teatru. Na wschodach przyłączył się do nich Złotowiecki. Lucjan go wezwał, by z niemi poszedł; wszystko zatem było w porządku.

Nazajutrz zrana przyszła Klementyna do Klary, ale była dziwnie niespokojna i wcale zatrzymać się nie chciała.

— Mam jeszcze tyle a tyle sprawunków do załatwienia — wymówiła — muszę kupić na dwie sukienki dla Inciuchny, buciki i pończoszki ciepłe, przytem i zabawek nieco, bom jej to obiecała. Wybacz więc, że u ciebie krótko zabawię.

— Ale wieczorem przyjdziecie na pewne?

— Niezawodnie. Pan Wincenty przyjechał.

— To i jego zapraszam!

— Przyjdzie z nami. Wszakżeż to szkolny kolega pana Lucjana.

Klara chciała jej mówić o Julianie Sieradzkim. Ale nie dało się; on tak mało grzecznym był dla niej i dla Lucjana.

Klementyna powstała.

— Klarciu moja — zagadała, biorąc ją za rękę — będzie mnie tu Stanisław szukał zapewne, więc mu powiedz, żem właśnie odeszła, żem długo u ciebie bawiła... On nie lubi, gdy wiele chodzę po mieście, robiąc sprawunki jakie, choćby najpotrzebniejsze... Nie lubi gdy zabawki dla Ińci kupuję.

— Nie lubi tego?

— Powiem ci na ucho: skąpy i mitręga! — dodała ciszej. — Jest-to ziółko, ale ja nie narzekam i znoszę wszystko cierpliwie — westchnęła — milczę!... Tobie jednak wszystko opowiem kiedyś... — przycisnęła chusteczką batystową oczy.

Klara patrzyła na nią pomięszana nieco i stanęli jej w myśli radczyni i Kalikst Zerowicz.

— Powiedz mu, powiedz — powtórzyła Klementyna raz jeszcze, chowając chusteczkę — żem długo bawiła u ciebie, żem niedawno odeszła. Do widzenia! — ucałowała Klarę i wybiegła.

Upłynęło z półtorej godziny. Klara posłyszała głos pana Stanisława w pokoju męża. Po chwili weszli obadwaj.

— Dzień dobry, pani! Krężelski pocałował ją w rękę. — Klimenia była u pani?

— Była.

— A dawno odeszła?

— Niedawno.

— Czy długo bawiła?

— Dla mnie zawsze niedługo... — odrzekła Klara z uśmiechem, lecz pomięszana w duszy; — może ze dwie godziny. Nie wiem.

— Nie mówiła pani dokąd idzie?

— Miała jakieś sprawunki porobić dla Ińci...

— A! Chciałem z nią pójść kupić właśnie dla Ińci płaszczyk ciepły, by dziecko mogło czasem świeżego użyć powietrza. Kupiłem także dla niej dwa pudełka z zabawkami, jakieśmy jej obiecali, i cukrzonych owoców, bo karmelkom jestem przeciwny.

Klarę to powiedzenie szczególniej nieprzyjemnie dotknęło; więc Klementyna kłamała — jej zarzut, uczyniony mężowi, był fałszem — a dla czegóż to uczyniła?

— Muszę pójść poszukać żony — wymówił Stanisław, jakoś zaniepokojony. — Do widzenia się z państwem!

— Do zobaczenia! A przyjdźcież rychło!

Spodziewając się miłych gości na wieczór, Klara zarządziła wieczerzę i różne służbie polecenia wydała. Poprawiła ubranie swoje i udała się do pokoju męża, by z nim naradzić się jeszcze. Ale go tam nie było. Zapytała służącego:

— Czy pan wyszedł, Pawle?

— Wyszedł, jaśnie pani.

Klara głową poruszyła z niechęcią i do salonu wróciła. Chodziło jej głównie o to, by Lucjan Złotowieckiego zaprosił — by nie zapomniał o tem. — „A może on i bez wezwania przyjdzie“ — powiedziała sobie — „przecie tak często przychodzi“.

Stanęła przed zwierciadłem i przypatrzyła się sobie. Czytać już nie mogła, bo zmierzchać się poczęło, usiadła więc przy pjaninie i zagrała. Coś niecierpliwiło ją jednak. Powstała znowu i szybko przebiegła salon.

Stuknęło w przedpokoju: zadrgnęła. Posłyszała chód szybki. Lucjan wszedł do pokoju. Zdawało się jej, że strasznie jest blady. Przybiegł, pochwycił jej rękę silnie, aż nią szarpnął.

— Klaro! — wymówił — Klaro! — a tchu mu zabrakło.

— Cóż się stało? — pytała, jakby bez ducha; straszna przejęła ją trwoga.

— Klaro!... Stała się rzecz okropna! straszna! — trzymał jej rękę jakby w kleszczach ujętą.

Czuła, że zbladła śmiertelnie.

— Cóż?... Cóż... na Boga! — słabym pytała głosem.

Paweł wniósł lampę. Lucjan był strasznie zmieniony, a ciągle rękę jej ściskał. Już i pytać nie miała odwagi.

— Rzecz straszna! — powtórzył Lucjan, taka zdrada! — zdawało się, jak gdyby w piersi jego płacz zagrał. — A!! — niby odetchnął głębiej i spojrzał na żonę. Wejrzenie jego zmiękło; Przeraziłem ciebie! — zawołał stłumionym głosem. — Wybacz!... Siadaj! Opowiem.

— Krężelscy pewnie przyjdą niezadługo... — odezwała się lękliwie.

— Nie przyjdą wcale! — Lucjan odrzekł głucho.

— Nie przyjdą?..

— Słuchaj! — Lucjan zaciął zęby.

— Powiedz-że! — Klara drżała we wnętrzu swojem, nie wiedząc dla czego.

— Stanisław... nieszczęśliwy! — Lucjan umilkł znowu.

— Cóż się stało, na Boga! — wyszeptała bezdźwięcznie.

— Gdy Stanisław ztąd wyszedł, odebrał bezimienne doniesienie, że żona jego ma stosunek miłosny z Juliuszem Sieradzkim — mówił Lucjan szybko — że miewają schadzki u jakiejś Mistalskiej, która suknie jej robi. Miejsce było oznaczone dokładnie... i że właśnie w tej chwili zeszli się tam znowu. Poszedł więc, na wpół zdrętwiały i o żonę zapytał: Mistalska odpowiedziała, że dziś u niej nie była wcale. Stanisław żądał, by otworzyła pokój od frontu, który mu wskazano. Nie chciała. Stanisław powtórzył energicznie żądanie. Mistalska tłumaczyła się, że pokój jest wynajęty, a pan który tam mieszka wyszedł właśnie... była strwożona i blada. Stanisław silny, a silniejszy jeszcze niepokojem... rozpaczą... szarpnął całą mocą, uderzył... i drzwi wyparł...

Klara struchlała.

— W pokoju... w pokoju — Lucjanowi głosu nie stało — zastał... żonę i adonisa!

— Jezus! — Klara załamała ręce.

— Tak, Jezus!... — porwał się Lucjan i znowu na siedzenie upadł. — Co tam zaszło, ani wiem! Dość, że Stanisław jej powiedział: „Każę zaprządz zaraz. Powóz zajedzie po panią. Odjedziesz natychmiast do rodziców... unikając ostatecznego skandalu. Pod mój dach pani już nie wrócisz więcej!“. wybiegł jak szalony. — Przechodziłem koło hotelu. Wincenty wyjrzał oknem i zawołał na mnie. Zastałem Stanisława w politowania godnym stanie; leżał na kanapie, czerwony, o twarzy nabrzękłej, bez tchu niemal. Zostałem przy nim, a Wincenty zajechał po nią... i wyprawił jejmość bez zwłoki. Sieradzkiego już tam nie było; czmychnął ladaco!... Wincenty czyni co może, by nieco uspokoić wzburzenie brata. Właśnie jest przy nim doktor, a ja przyszedłem do ciebie. Nieskończenie mi żal biednego! — pochylił głowę na dłoń, pierś jego poruszała się ciężko.

(Dok. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

Włochy! Alboż nie dosyć o boskiej Italji, czyśmy się o niej mało nasłuchali? Przejrzej półki każdej bibljoteki, zatrzymaj się przed wystawą pierwszej lepszej księgarni, rzuć okiem na sekretarzyk w buduarze modnej damy — a wszędzie spotkasz się z książką, w której autor opisuje zaczarowaną Wenecję i wiecznie młodą Florencję — zadumany Rzym i roznamiętniony Neapol. Tysiące dzieł spisano już o tym kraju wielkich pamiątek, wielkich usiłowań i wielkich zbrodni — a kto nie miał talentu, aby dojrzeć coś nowego, ten ukradkiem przepisywał drugich, i tak w literaturze każdego narodu powstała cała bibljoteka, poświęcona półwyspowi, o którego posiadanie kusiły się prawie wszystkie ludy Europy. Daj więc pokój tematowi, który oddawna inni wyczerpali, a zajmij się raczej czemś świeższem i mniej znanem.

Słyszę, że czytelnicy moi takie już robią uwagi—ale to mnie nie odstrasza. Nie będę wam powtarzał rzeczy starych; sztuki wcale nie dotknę, chociaż we Włoszech nauczyłem się ją kochać; nie będę wam także opisywał szczegółowo podróży po stu miastach półwyspu Apenińskiego, bo chcąc nie chcąc, musiałbym często to powtarzać, co przedemną drudzy lepiej wypowiedzieli; ale ponieważ spędziłem tam lata, które należą do najciekawszych w historji odradzającej się Italji; ponieważ miałem sposobność bądź zobaczyć, bądź usłyszeć niejedną rzecz dotąd nieznaną; ponieważ nakoniec miałem towarzysza i przyjaciela, który przeszedłszy pod niebem włoskiem koleje dosyć ciekawe, wcale za to gniewać się nie będzie, jeżeli je powtórzę wiernie na tem miejscu — przeto kreślę nie „podróż“ ale „wspomnienia,“ a jeżeli łaskawy czytelnik powie, żem go nie znudził, zadowolenie moje będzie zupełne i nagroda największa.

Tyle na moje usprawiedliwienie.

I.

Przez Alpy.*)

Na niebie był wrzesień — a w kalendarzu r. 1864.

Z uderzeniem piątej godziny rano, na dworcu kolei w Genewie zadzwoniono po raz trzeci — konduktor dał znak maszyniście — para świsnęła

---

* Ustępy z tego rozdziału, ale w formie odmiennej, były umieszczone w „Mrówce“ z r. 1869. (Przyp. autora.)

*

i pociąg ruszył ku Sabaudji. Licznie zgromadzona publiczność żegnała z peronu odjeżdżających, a w oknach wagonów ukazywali się podróżni, aby ostatniem *adieu*, ostatnim chustki powiewem, raz jeszcze przypomnieć się tym, których żegnało się może na krótko, może na zawsze. Rozkołysany pociąg pędził jak uragan. Drzewa, skały i pola uciekały z oczu — kłęby czarnego dymu ścieliły się na lewo — a podróżni pozamykawszy okna usiedli i w głęboką zapadli zadumę. Nikt słowa nie przemówił, i gdyby nie skrzypienie lokomotywy, nie zgrzyt kół żelaznych — mógłbyś sądzić, że nad całą naturą przeleciał anioł śmierci.

Jak dziwne nasze serca!

Nie raz z uśmiechem na twarzy przypatrujemy się bitwie, w której giną tysiące, a opuszczając mieszkanie, w którem spędziliśmy dłuższy przeciąg czasu, stajemy na progu, patrzymy na te nagie ściany, na ten piec opuszczony — i czujemy, że serce nasze ściska jakiś żal nieokreślony. Prawda, że w tych pokojach było nam dosyć niewygodnie, że w nich doznaliśmy nie jednej goryczy, ale czy w nowych, choć je wszyscy zachwalają, jeszcze nam gorzej nie będzie? Podobne myśli, tylko o wiele potężniejsze, budzą się w nas zawsze, ilekroć z jednego położenia przerzucamy się w drugie, gdy zerwawszy z teraźniejszością, zdajemy się na łaskę nieznanej przyszłości. Jak silnym jest w naszych piersiach żywioł zachowawczy! I dziwić się tu potem dla czego ludzkość kroczy zwolna na drodze postępu, dla czego większość każdego społeczeństwa lęka się obalenia teraźniejszości, dla czego konserwatyzm jest wszędzie tak potężnym.

Mnie samemu było smutno, bardzo smutno. Po kilkomiesięcznym pobycie w Szwajcarji opuszczałem te olbrzymie góry, te malownicze jeziora, te bogate doliny, ten poczciwy lud szwajcarski, a chociaż udawałem się na ziemię piękna i roskoszy, do kraju kochanków i poetów — do Włoch, nie wiedziałem jednak, czy na tej ziemi, o której od dzieciństwa marzyłem, nie czekają mnie większe jak dawniej zawody, większe boleści.

Spojrzałem przez okno. Genewa rozpływała się w mgłach szarych; jezioro — którego majestatyczną wielkość podziwiałem jeszcze przed godziną — zmieniło się w wąską, srebrzystą wstęgę; wyniosłe wzgórza, biegnące wzdłuż jego brzegów, malały jak karły; i tylko jeden Mont-Blanc, oświetlony purpurowo-złotemi promieniami wschodzącego słońca, otrząsał z siwych włosów natrętne chmurki poranne, i patrzył dumnie na świat, zawsze wspaniały, zawsze olbrzymi!

W wagonie wszczął się ruch, zaczęto zawiązywać rozmowę. Snać przeminęła chwila zadumy o przeszłości, a umysły zajęło zimne liczenie się z przyszłością.

— O czem myślisz? — zagadał do mnie młodzieniec o błękitnem oku, jasnych włosach i dziwnie wrażliwej duszy, mój dwudziestoletni towarzysz i przyjaciel, z którym od kilku miesięcy włóczyłem się po Niemczech i Szwajcarji.

— O Szwajcarji, Karolu.

— Rozstań się już z tą Szwajcarją, i myśl raczej o ideale naszych marzeń, o Włoszech. Szwajcarja — kraj piękny, nie przeczę, nawet szczęśliwy, ale co ludzie, to przyznam ci się szczerze, że mnie bynajmniej nie zachwycali. Kobiety bez zapału, fantazji, albo zbyt tłuste, albo jasnokościste—na pięć kroków czuć od nich zapach masła i sera; a mężczyźni spokojni, powolni, myślący cały dzień o realnem zatrudnieniu, bez iskry goręcszego uczucia — istne woły pracujące. Zresztą trudno od nich więcej żądać. Niewdzięczna ziemia każe całe życie borykać się z sobą, a olbrzymia natura, powtarzająca im na każdym kroku: jesteście karłami! zabija w nich poloty wyobraźni. Ach! we Włoszech będzie inaczej. Tam piękno przyrody, odziane lżejszemi szaty, nie przygnębia ducha, owszem wyżej go wznosi... na tej ziemi klasycznej, wydającej tysiące artystów i poetów, w tym prawdziwym raju doczesnym odżyjemy całą piersią...

Jakiś jegomość, nie pierwszej już młodości, siedzący obok nas, zwrócił się w tej chwili do Karola, i zapytał na pół łagodnie, a na pół ironicznie:

— A jeśli się pan mylisz, cóż wtedy?

Karol żachnął się i w nieznajomego wlepił pełne wyrazu oko. Na zapytanie nie odpowiedział, bo może nie wiedział co odpowiedzieć, a może nadto się zdziwił, że obok nas znajduje się osoba, mówiąca tak dobrze jak my po polsku. Nieznajomy przysuwając się do Karola spytał z uprzejmym uśmiechem:

— Czy panowie do Włoch jadą?

— Tak panie — przerwał Karol dosyć sucho.

— Szczęśliwym, że będę mógł skorzystać z miłego towarzystwa. Ja także jadę do Włoch. Jestem Eustachy Ż. z Poznańskiego — rzekł nieznajomy podając nam rękę.

Przedstawiwszy się panu Eustachemu, zawiązaliśmy prawdziwie przyjacielską pogadankę. Nawet Karol zapomniał o niezbyt miłem *intermezzo* i o dłużnej odpowiedzi. Tylko w podróży robią się łatwe i nieraz serdeczne znajomości.

— Czy pan długo zabawi we Włoszech? — spytałem naszego towarzysza.

— Całą zimę. Zwykła to moja podróż, którą rok rocznie odbywam. Piersi nie statkują, lekarze przepisali w zimie łagodniejsze powietrze. A panowie, na jak długo wybraliście się do tego *raju doczesnego?* — Ostatnie dwa słowa wymówił z szczególnym naciskiem.

— Zależeć to będzie od okoliczności... może na rok, dwa, a może i na lat kilka. Chcielibyśmy poznać kraj, ludzi, chcielibyśmy się czegoś nauczyć...

Poznańczyk chwilkę podumał, a potem rzekł poważnie:

— Zatem w celach naukowych, nie dla przyjemności, pięknie, bardzo pięknie. Z całej duszy życzę szczęścia. Zanim się jednak rozstaniemy, pozwólcie bym wam dał przyjacielską radę, za którą będziecie mi z czasem bardzo wdzięczni. Jeźli chcecie poznać Włochy na wskróś, to nie podróżujcie jak turyści kolejami i bitemi gościńcami, bo w każdym kraju, a szczególnie we Włoszech, inaczej przedstawia się lud na bitych drogach, a inaczej w ustroniach; nie stawajcie w pierwszorzędnych domach gościnnych, bo na całym półwyspie są one pociągnięte angielskim lub francuskim, lecz nigdzie prawdziwie włoskim pokostem; nie osiedlajcie się w jednej tylko prowincji, bo każda z nich ma w sobie coś takiego, co ją różni od drugiej; nie obracajcie się wreszcie w jednej tylko sferze, lecz zacząwszy od lazaronów, a skończywszy jak najwyżej, starajcie się poznać wszystkie warstwy społeczeństwa, w przeciwnym bowiem razie Włochy pozostałyby dla was ziemią nieznaną. Wystrzegajcie się przytem udawać panów, jeźli nie chcecie by zdrowie, kieszeń a nawet honor ucierpiały na każdym kroku. Przebaczcie staremu, że się ośmielił przybrać ton mentora, ale wyście młodzi, niedoświadczeni, a tacy mogą zaznać nie mało nieprzyjemności w owym *raju doczesnym*, który w mem życiu miałem sposobność poznać wszechstronnie.

— Czy pan tak dobrze znasz Włochy?

— Jak własną kieszeń! dziesięć lat spędzonych tam za młodu, mogły mnie z krajem nie źle obznajomić.

Niecierpliwy Karol przysunął się jeszcze bliżej do pana Eustachego, i zaczął mu najrozmaitsze zadawać pytania, na które Poznańczyk odpowiadał ze zwykłym spokojem i uprzejmością. Rozmowa stawała się głośniejszą, gdy panu Eustachemu, malującemu charakter Włochów nie zbyt korzystnemi barwami, Karol przerywał okrzykiem:

— Ależ to niemożebne! Pan chyba żartujesz...

Słowa naszego towarzysza podróży utkwiły mi głęboko w pamięci. Rozbierałem je, ważyłem, nakoniec uznawszy je za zdrowe, postanowiłem trzymać się ich jak drogoskazu.

Minąwszy francuską granicę w Culoz, gdzie nam podpisano paszporty, wjechaliśmy na ziemię sabaudzką. Z początku te same widoki co w Szwajcarji, lecz w pół godziny krajobraz zaczął się zmieniać. Góry zbliżyły się do kolei, grożąc nam uduszeniem; na ich nagich skałach nie widziałeś ani odwiecznych lasów, ani istot żyjących; szeroka i bogata dawniej równina przeistoczyła się w długi, nieurodzajny wąwóz, a jezioro *Du Bourget*, pomimo znacznej wielkości, nie miało już tych czarownych wybrzeży co Zurychskie, Czterokantonowe, lub Genewskie. Im dalej unosiła nas para, tem smutniejsze widoki. Na górach co raz mniej roślinności, same opoki, granity; koło chat wieśniaczych stawianych z kamienia co raz mniej winnic i drzew owocowych — w koło co raz większe ubóstwo. Jeden lud tylko nie stracił swego charakteru. Chociaż między *Chambery* a *St. Jean de Maurienne* nie równie on biedniejszy od ludu szwajcarskiego, przecież nie upadł pod ciężarem tej niewdzięcznej przyrody, która nawet dawnemu księciu tych okolic, Eugenjuszowi, kazała szukać służby u zagranicznych monarchów, i nie zatracił w sobie tej rzeskości, która charakteryzuje jego braci z nad Sekwany. Klimat i materjalne stosunki pochyliły go trochę, ale nie złamały, nie zatarły w nim rasy.

W *St. Michel* zatrzymał się pociąg.

Była godzina czwarta z południa. Podróżni wysiedli z wagonów i tłumnie udali się na objad do restauracji.

— Co teraz poczniemy? — spytał p. Eustachy, stanąwszy przed oknem w sali, przepełnionej zgłodniałymi wojażerami.

— Czy co nowego?

— Nowego wcale nic, chciałem się tylko dowiedzieć, w jaki sposób myślicie odbyć podróż przez Mont-Cenis. Kolej dochodzi tylko do *St. Michel*, a za tą mieściną świat już deskami zabity. Czy pojedziemy pocztą, czy może pójdziemy pieszo? Chociaż lat mam tyle co wy razem obadwa, oświadczam się jednak za pieszą podróżą. Czy zgoda?

— Wybornie! — zawołaliśmy jednogłośnie, uszczęśliwieni tą niespodzianką.

Po wcale dobrym objedzie oddaliśmy nasze tłumoki w urzędzie pocztowym z poleceniem, by nam zwrócono w Suzie, a sami uzbroiwszy się w sękate kije, mające służyć nie za broń przeciw rozbójnikom, bo tych w poczciwej Sabaudji nigdy nie było, lecz za podporę — i zarzuciwszy na ramiona ciepłe płaszcze, wyruszyliśmy przez

miasteczko jedynym gościńcem, który mijając skały i przepaści, wiódł do ziemi obiecanej. Tymczasem inni podróżni zająwszy olbrzymie wnętrza wozów pocztowych, mijali nas wolnym kłusem, z uśmiechem politowania na ustach; lecz uśmiech złośliwy nie drażnił nas długo, bo wkrótce znikły konie, ścichł turkot kół toczących się po granitowym gościńcu, i wśród dzikiej natury ujrzeliśmy się sami, z naszemi myślami i Bogiem.

Wkrótce zaczęło się zciemniać. Zimny wiatr ciągnął od szczytów wiecznym śniegiem pokrytych gór; strumienie padały z łoskotem między potargane skały i pieniąc się leciały w doliny; a nad naszemi głowami niebo czarnemi okryte chmurami przejmowało grozą i kazało myśleć o wielkości natury... Czasami w głębi wądołu, lub gdzieś wysoko na górze zamigotało małe światełko pastusze... Uszczęśliwieni z przerwania strasznej ciemności, zaczęliśmy zawiązywać rozmowę: ale światło gubiło się między skałami, monotonna ciemność znowu nas oblewała, usta język wypowiadały posłuszeństwo... Któż czując do koła grozę, może spokojnie rozmawiać?...

W kilka godzin ujrzeliśmy przed sobą tysiące świateł, a o uszy nasze odbił się jakiś stłumiony gwar, i dalekie młotów stukanie. Byliśmy w Modane. Duch ludzki, nie dający się w swoim polocie wstrzymać żadną zaporą, postanowił z tej mieściny poprowadzić tunel przez cały pas Cenizjusza, aż do granicy włoskiej, do Bardonneche, aby dwa kraje rozdzielone Alpami, Francję i Włochy zbliżyć do siebie i zbratać. Mimo spóźnionej pory tysiące robotników krzątało się przy otworze. Fabryka gazu, założona opodal, zasilała miasteczko i tunel bogatem światłem, w którem najrozmaitsze maszyny, służące do żłobienia otworu, wyglądały jak pełzające po ziemi potwory. Jeden z inżynierów opowiadał nam obszernie o tej pracy tytanów.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Piąty dzień upływał już carowi na zabawie z współbiesiadnikami, gdy zjawił się przed nim z zachmurzonem czołem Hudowicz i przemówił:

— N. Panie! widzę że wolisz nieprzyjaciół twojej sławy, aniżeli wiernych sług swoich; chętnie słuchasz ich pochlebstw, jakbyś chciał naumyślnie usprawiedliwić rozsiewane przez nich pogłoski, żeś więcej zdolny do rozpusty i nikczemnych uciech, jak do rządzenia państwem. Widocznie mniemasz, że tak działając, wstępujesz w ślady pracowitego i czujnego dziada twego, Piotra W. któregoś poprzysiągł naśladować. Otóż to sposób, za pomocą którego zamyślasz nadal prowadzić tyle mądre i szlachetne rządy, mające ku sobie skierować miłość i podziw twoich ludów?! Lecz miłość ta i ten podziw już nikną — zastępują je natomiast oburzenie i narzekania. Cały Petersburg jest tego zdania, że cesarz wydalił się gdzieś za granicę; nikt go nie widzi, nikt o nim nie słyszy, a tymczasem państwo napróżno oczekuje praw zbawiennych; tryumfują niecnota i przewrotność; złośliwe zamiary, które zamilkły w początkach twego panowania, znowu odezwą się z całą zuchwałością. N. Panie! wyjdź z tego odrętwienia, ukaż się coprędzej narodowi i dowiedź, żeś wart tego zaufania, jakie w tobie pokłada.

Piotr słuchał całej przemowy zdumiony i zawstydzony, a gdy ucichł Hudowicz, zapytał go, co ma uczynić dla państwa, wynagradzając za dni niewstrzemięźliwości? Korzystając z tego, Hudowicz przedstawił mu oba manifesty, zredagowane przez kanclerza Woroncowa, z których jeden nadawał prawa szlachcie, a drugi znosił tajną kancelarję. Odczytawszy oba, car schował do kieszeni i pojechał natychmiast do senatu, aby je odczytać.

Ktokolwiek się dowiedział o tych manifestach, każdy się cieszył, sądząc, że car był w ukryciu przez pięć dni, dla tego by lepiej obmyśleć te dwa wspaniałomyślne postanowienia.

Zamiarem Piotra było niemniej wykorzenienie mnóstwa nadużyć w sądownictwie i przyspieszenie postępowania sądowego, które tyle sprzyjało rozwojowi przekupstwa; lecz trudna ta sprawa wymagała, prócz dłuższego czasu, także bliższego obznajomienia się z juryzdykcją, jej tradycyjnym sposobem postępowania, oraz ze zwyczajami. Car zwidził senat w chwili, gdy się go tam najmniej spodziewano, a nie znalazłszy nikogo, zawołał senatorów i objawił im swoje oburzenie za takie lekceważenie ciężących na nich obowiązków. Handel, nauki i sztuki zajmowały także uwagę nowego cara.

Zarząd państwa jest podzielony na kilka rozmaitych gałęzi, podług rodzaju zajęcia, które nazywają się kollegjami; car więc zwidzał je często, bywał na naradach i przy uchwałach; zachęcał nieraz do pracy, a jeśli nie umiał więcej oświecić, za to swoją troskliwością dopomagał rozwijaniu się gorliwości. Gorącem jego życzeniem było przerobienie przekonań narodowych, lecz zadaniu temu sprostać nie łatwo; naród bowiem, szczuty przez popów, wiedział, że car więcej ma przywiązania do luterskiej wiary aniżeli do greckiej, i do Niemców — jak do Rossjan.

Poddając się wpływowi Hudowicza i chcąc we wszystkiem naśladować króla pruskiego, car przyjmował wszystkich proszących i kładł na prośbach swój podpis. Nawet nieprzyjaciele musieli uznać to, co w nim przypominało Piotra W.

Przy wstąpieniu na tron, podczas posłuchania posłów zagranicznych, zachowywał się Piotr III. z największą przyzwoitością i umiarkowaniem, co wszystkich wprawiło w niemały podziw, znających jego dawniejszą niepowściągliwość w rozmowie i piciu; w ten sposób uczta recepcyjna przeszła jak najprzyzwoiciej. Sami cudzoziemcy dostrzegli tę nagłą zmianę na lepsze, a dwór wiedeński uspokoił się co do zamiarów cara. Wszakże rachuby Marji Teresy okazały się mylnemi, i Piotr III. chwycił się względem niej wręcz przeciwnej polityki. Nie mógł dłużej udawać, najgłębszą bowiem jego namiętnością było fanatyczne ubóstwianie Fryderyka II. Uwolnił wszystkich niewolników pruskich w Petersburgu i przypuścił ich do swego stołu; szczególniej przywiązał się do jednego z nich, hr. Gordona, szwedzkiego oficera, więzionego przez trzy lata za rządów Elżbiety, który stał się następnie jego przyjacielem i faworytem, za to, że mógł z nim rozmawiać o Fryderyku.

Cesarz bardzo rzadko przyjmował na dworze zagranicznych ministrów, z wyjątkiem pruskiego i angielskiego hr. Kejta, co wszystkich innych mocno zasmucało. Z królem Fryderykiem prowadził oddawna korespondencję, a w listach swoich nietylko nazywał go swoim bratem ale także najszanowniejszym mistrzem: przypominał mu z przyjemnością, że zanim został w. księciem moskiewskim, miał honor służyć w jego wojsku, a poniżanie się posunął nawet do tego stopnia, że prosił go o awans. Król umiał z wielkim sprytem wyciągać korzyści z tej przyjaźni; nie awansował go też nagle, chcąc cara mieć w ciągłej zawisłości, i zaledwie po upływie pewnego czasu zrobił go jenerał-majorem, dodając, że daje mu rangę, nie za to, że jest cesarzem, lecz przez wzgląd na nabyte wiadomości w sztuce wojennej. Okazanie tej nic nieznaczącej przychylności, napełniło Piotra nową czcią dla króla; a kazawszy odmalować portret Fryderyka, zawiesił go w sypialnym pokoju, co wszystko odbyło się przy wspaniałej uczcie, podczas której zapomniał o umiarkowaniu przestrzeganem od pewnego czasu. To ubóstwianie Fryderyka, oburzało poddanych, tak, że pewnego razu hetman Razumowski dał mu to dotkliwie uczuć.

— Wiesz że ty — mówił car do hetmana— wiesz, że pierwiej zanim zostałem w. księciem byłem porucznikiem króla pruskiego?

— No i cóż w tem takiego — odpowiedział kozak — dzisiaj N. p. sam możesz zato zrobić króla pruskiego swoim jenerałem.

Żadne rozporządzenie w ogóle, tchnące pochodzeniem ze źródeł pruskich, nie miało miru ani u dworu ani u ministrów zagranicznych; równegoż losu doznawały niekiedy i inne, wypływające od samego cara. Wiele z nich zrodziło mnóstwo malkontentów, i dowodziły, że jeżeli Piotr III. miewał niekiedy większą skłonność ku dobremu, za to z innej strony okazywał, że brakło mu oświaty (?) i charakteru do rządzenia państwem; w skutek czego często odrzucał mądre rozporządzenia i zgadzał się nie tylko na niekorzystne i bezsensowne, lecz i niebezpieczne; pragnienie ulepszeń, popychało go do zmian nieostrożnych i przedwczesnych, do liczby których należało zmniejszenie bogactwa mnichów, i wykorzenienie zabobonów w masach. Nie ma wątpliwości, że wszystko to było słusznem; lecz na początku panowania, przeciwko któremu dotąd panowało takie uprzedzenie — czyż wypadało drażnić klasę ludzi, mających ogromne wpływy na innych? Co za racja była w zrywaniu świętych obrazów, przed któremi naród upadał? Po co było uzbrajać przeciwko sobie wszystkich dewotów i dewotki, wysłaniem na wygnanie arcybiskupa nowogrodzkiego, za to, że nie chciał wypełniać tych rozkazów? Któż nie przyzna, że wszystko to było wielkim błędem?

Wkrótce też trzeba było odwołać arcybiskupa z wygnania, a tym dowodem słabości Piotr III. obudził na nowo nadzieje swoich wrogów, a nie uspokoił pokrzywdzonych popów i mnichów. Ci ostatni roznosili po całem carstwie wieści, że car przyjął tylko dla tego grecką wiarę, aby odziedziczyć tron, lecz w duszy zawsze pozostał lutrem, dowodem czego jest jego pogarda dla wszystkich świętości prawosławnych, dla zwyczajów, obyczajów i praw moskiewskich; przypominali zarazem i to, że podczas poświęcenia luterskiego kościoła w Oranjenbaumie był sam obecny i rozdawał holsztyńskim żołnierzom książki do nabożeństwa, gdy jednocześnie do święconej tamże cerkwi całkiem nie wszedł; powiedzieli, że drwił ze świętych; bo dwa nowe okręty nazwał imionami wuja swego ks. Jerzego (Georga) i króla Fryderyka (Katarzyna, która umiała po-

chlebiać ludowi, zmieniła nazwiska obydwu okrętów: jeden dostał imię ś. Mikołaja, drugi ś. Aleksandra, co wszakże nie obroniło ich od Turków w 1768 r.); dowodzili na ostatku, że Piotr nie umiał bez pogardy wyrażać się o rossyjskim narodzie, chociaż ten tak przylgnął do niego na początku panowania. Gdy tyle zręcznych pozorów nadarzało się oszczercom, car, zdaje się, umyślnie wysilał się na to, by oburzyć przeciwko sobie także i wojsko, dając zawsze pierwszeństwo Holsztyńcom przed Rossjanami: skasował szlachecką eskortę (dworianie-tiełochranitieli), która wprowadziła na tron Elżbietę, odsunął od pałacowej warty konną gwardję, i zastąpił ją swymi Holsztyńcami, i zaprowadził wreszcie pruski regulamin, który chociaż był lepszym od dawniejszego, wymagał jednak ciągłej mustry. Skutek był ten, że car wywołał przeciwko sobie silne szemranie w pułkach Preobrażeńskim i Izmaiłowskim, którym kazał wyruszyć do Pomeranji, dla połączenia się z armją kroczącą przeciwko Danji, a gdy zrobił wuja swojego, ks. Jerzego, oficera holsztyńskiego, jeneralissymusem wojsk rossyjskich, i oddał pod jego wyłączne dowództwo konną gwardję, która dotąd miewała zawsze swym pułkownikiem samego panującego, słowem, tak oburzył przeciwko sobie całe wojsko, że najlepsze reformy wywoływały powszechną niechęć, wyrzucano mu nawet, że chciał zaprowadzić rozmaitość mundurów i kołnierzy, dla wyróżnienia pułków, dodając, że podobna moda jest nieludzką oraz nie uchodzi w Rossji.

(C. d. n.)

EL VERDUGO.

Z ust Hiszpana zanotował

Kalikst Wolski.

Dnia 25. lipca 1808 r. zegar wieży ratuszowej niewielkiego miasta Menda, wybił północ. Młody dowódzca bataljonu załogi francuskiej konsystującej w tej miejscowości, stojąc na terasie okalającej ogrody zamku położonego na górze po nad miastem, pogrążony był w głębokiej zadumie, jakiej w owym czasie wojskowi francuscy prowadzący nieustanne wojny, a z tego powodu mało troszczący się o jutro, którego żaden z nich nie był pewnym doczekać, bardzo rzadko się oddawali.

Nocna pora, położenie miejsca, niezwykła sytuacja, sprzyjały marzeniom młodego oficera. Przecudne w letniej porze niebo hiszpańskie rozpościerało swoje lazury.... migotanie iskrzących gwiazd i łagodne światło księżyca, oświetlało roskoszną dolinę rozciągającą się za miastem, które, jakby dla ochrony od gwałtownych wichrów północnych, zbudowanem było u podnóża skały, gdzie sterczały mury obszernego zamku.... Po drugiej znów stronie, w niewielkiem oddaleniu widać było morze, którego lśniące fale odbijały się w tym uroczym krajobrazie na kształt szerokiej srebrzystej wstęgi.

Zamek był rzęsisto oświetlony. Wesoła wrzawa balowa, skoczne tony orkiestry, śmiechy kilku oficerów i ich tancerek, połączone ze szmerem bałwanów morskich w dali, dochodziły do smutnie dumającego dowódzcy bataljonu, Wiktora Marchand. Z jednej strony chłód nocny zmęczonemu dziennym upałem i wieczornym tańcem ciału użyczał nieco rzeźkości... z drugiej kwiaty i pachnące drzewa szpalerów i altan odurzały młodego oficera, zanurzając go w roskosznej wonnej kąpieli.

Zamek Menda był własnością granda hiszpańskiego, który tu zamieszkał ze swoją rodziną. Przez cały wieczór najstarsza córka spoglądała na dowodzcę bataljonu z tak rzewnem i pełnem jakiegoś niewypowiedzianego smutku zajęciem, iż to współczucie wyrażone w oczach Hiszpanki, mogło łatwo rozmarzyć młodego Francuza.

Klara była piękną. Ojciec jej markiz y Lagania był bardzo bogaty i pomimo że miał pięcioro dzieci, wyposażenie córek byłoby pewnie bardzo znaczne, a przytem przesądy kastowe i nienawiść w owych czasach Hiszpanów ku Francuzom, nie pozwalały ani na chwilę przypuszczać, ażeby Wiktor Marchand, syn kupca sklepu korzennego w Paryżu, mógł kiedykolwiek ubiegać się o rękę dumnej Hiszpanki... a jednakże tkliwe tego wieczora spojrzenia Klary, przeszyły serce dowódzcy bataljonu jakiemś nieznanem mu dotąd uczuciem, i wprawiły go w tak głęboką zadumę.

Markiz y Lagania był podejrzywanym przez władze francuskie, iż przysposabia powstanie na korzyść Fardynanda XII i z tej to przyczyny generał Verdier wykomenderował bataljon piechoty pod dowództwem Wiktora Marchand do miasteczka Menda, polecając mu pilnowanie zamku i sąsiednich okolic należących do Markiza i podlegających ślepo jego woli. Świeża depesza marszałka Ney'a uwiadomiła generała, iż angielskie okręty krążą niedaleko brzegów hiszpańskich, i zapewne próbować będą wylądowania w bliskości zamku Menda, ponieważ — jak się domyślano — właściciel tegoż zamku utrzymywał tajne korespondencje z gabinetem londyńskim.

Pomimo więc dobrego i uprzejmego przyjęcia, jakiego Wiktor Marchand i inni oficerowie doznawali od Markiza, dowódzca bataljonu, na którym ciężyła wielka odpowiedzialność, miał się ciągle na baczności. Wyszedłszy z sali balowej zwrócił swe kroki w stronę terasy zamkowej, bo z tamtąd mógł z łatwością zbadać stan miasta i okolic powierzonych jego dozorowi. W drodze zapytywał sam siebie, jak tłumaczyć przyjaźń którą, mu Markiz nie przestawał okazywać; jak spokojność kraju mogła się godzić z obawami generała zalecającego mu w każdym rozkazie dziennym nieustanne czuwanie i nadzwyczajną otrożność?

Przybywszy na terasę, gdy już przez niejaki czas dumał o rozkazach generała i marzył trochę o pięknych oczach córki Markiza, niezwykła okoliczność zwróciła nagle jego uwagę. Spostrzegł bowiem w mieście dość znaczną ilość migających światełek. Był to wprawdzie dzień Sgo Jakóba, który obchodzonym bywa w całej Hiszpanji z wielką uroczystością, ale pomimo tego, wydał zrana rozkaz, aby wszystkie ognie były pogaszone w mieście przed dziesiątą. Sam tylko zamek był wyłączony od tej ostrożności. Dostrzegł tu i owdzie błyszczące bagnety swych żołnierzy na zwykłych placówkach, a w mieście grobowa cisza nie wskazywała aby mieszkańcy oddawali się zabawom świątecznym. Zaniepokojony, nie mógł sobie wytłumaczyć przyczyny nieposłuszeństwa jakiego się Hiszpanie dopuścili, a tem bardziej niezrozumiałem to było dla niego, iż polecił jednemu z oficerów i podoficerom pełniącym obowiązki nocnej policji jak najściślejsze wykonanie rozkazu.

Z młodzieńczą porywczością chciał przeskoczyć wyłom, aby zejść ze skały i tym sposobem dostać się prędzej, aniżeli zwyczajną drogą do pierwszej placówki znajdującej się przy wejściu do miasta od strony zamku, gdy jakiś szmer nagle go powstrzymał. Zdawało mu się iż usłyszał w alei skrzypiący piasek pod lekkiemi stopami kobiety. Odwróciwszy się, nikogo nie zobaczył, lecz złowrogie widowisko nagle przedstawiło się jego oczom.

Uderzył go niezwyczajny blask na oceanie... struchlał... bo ujrzał przy bladych promieniach księżyca rozpięte żagle dwóch okrętów w dali. Starał się wmówić w siebie, że ta wizja była tylko złudzeniem optycznem, wywołanem kaprysami fal morskich i księżyca, lecz wpatrując się z uwagą, nie mógł więcej powątpiewać o rzeczywistości. Wyrwał go z osłupienia sprawionego tym złowrogim widokiem chrapliwy głos wymawiający jego nazwisko, i ujrzał przybliżającego się ostrożnie i zwolna żołnierza, który mu tego wieczora towarzyszył do zamku.

— Czy to ty, komendancie? — zapytał tenże.

— Tak jest, i cóż? — odpowiedział dowódzca bataljonu z cicha, bo jakieś przeczucie ostrzegało go działać tajemniczo.

— Ci hultaje kręcą się jak mrówki, a ja pospieszyłem tu, aby ci udzielić, jeżeli pozwolisz, moich spostrzeżeń.

— No! mów ale prędko — rzekł z niecierpliwością oficer.

— Szedłem właśnie za człowiekiem, który kierował swe kroki w tę stronę z latarnią w ręku. Latarnia w lecie, i kiedy księżyc świeci, to rzecz djable podejrzana! bo nie zdaje mi się, aby ten świętoszek potrzebował zapalać gromnicę o tej godzinie. Chcą nas zjeść, pomyślałem, i śledziłem go bacznie... otóż odkryłem o kilka ztąd kroków stos suchych gałęzi, i.....

W tej chwili okropny krzyk rozległ się po mieście i przerwał opowiadanie żołnierza. Wielka jasność ogarnęła całą terasę, a biedny grenadjer opowiadający, trafiony kulą w głowę upadł u nóg komendanta. Zapalona słoma i suche gałęzie świeciły o dziesięć kroków jak ogromny pożar. Muzyka i śmiechy w sali balowej ustały, a jęki dające się słyszeć w różnych stronach zastąpiły wrzawę świąteczną. Wystrzał armatni rozległ się po białej płaszczyźnie Oceanu. Zimny pot wystąpił na czoło dowódzcy bataljonu. Był bez szpady, a żołnierze jego może już wszyscy wyginęli i Anglicy wylądowują!... Widział się, choćby nawet uszedł Hiszpanom, zniesławionym, prowadzonym przed sąd wojenny... zrozpaczony, nie chcąc przeżyć podobnej hańby, postąpił parę kroków nad przepaść i zamierzał się w nią rzucić, gdy Klara pochwyciła go za rękę i szepnęła do ucha:

— Uciekaj!... moi bracia idą za mną, by cię zabić.... Tam... u spodu skały znajdziesz andaluza, Juanitę.... Uchodź!... i popchnąwszy go z lekka w stronę którędy mógł bezpiecznie zejść uciekła.

Wiktor Marchand zdumiony, patrzył przez chwilę za uciekającą nie wiedząc co czynić.... Instynkt jednakże zachowawczy, który najmężniejszego nawet nigdy nie opuszcza, przemógł jego wahanie; przeskoczył więc do parku kierując się wskazaną przez Klarę drogą i biegł po skałach dotąd tylko dzikim kozom znajomych. Słyszał głos Klary, wołającej na braci, by go ścigali; słyszał kroki swych wrogów, słyszał świst kul

po nad głową, lecz biegł ciągle i nareszcie dopadł doliny, znalazł konia, wsiadł i znikł lotem błyskawicy.

We dwie godziny Wiktor Marchand dostał się do kwatery generała, a chociaż była zaledwie czwarta z rana, zastał go otoczonego sztabem nad rozłożoną na stole mapą Hiszpanji.

— Przynoszę wam moją głowę! — wykrzyknął dowódzca bataljonu, wchodząc blady i zmięszany, a usiadłszy, bo nie mógł się na nogach utrzymać, opowiedział szczegóły strasznego zdarzenia.

Ponura cisza panowała podczas jego opowiadania.

— Znajduję cię więcej nieszczęśliwym aniżeli winnym, — rzekł po długiem milczeniu generał. — Nie jesteś odpowiedzialnym za zbrodnie Hiszpanów i jeżeli marszałek inaczej nie rozporządzi, ja cię rozgrzeszam.

Łagodne wyrazy generała, słabo tylko pocieszyły nieszczęśliwego oficera i zawołał z rozpaczą.

— A jak cesarz się dowie?

— Każe cię rozstrzelać... lecz zobaczymy... a teraz nie mówmy więcej o tem, ale raczej pomyślmy — dodał surowym tonem generał — o zemście, którąby rzuciła trwogę na ten kraj, gdzie prowadzą wojnę na sposób dzikich!

W godzinę później, cały pułk kawalerji był już w drodze. Generał Verdier i Wiktor Marchand jechali na czele. Żołnierze uwiadomieni o rzezi swoich rodaków przejęci byli niepohamowaną wściekłością.

Przestrzeń dzielącą kwaterę główną generała od miasteczka Menda, przebyli z zadziwiającą szybkością, pomimo że po drodze spotykane wsie pod bronią były otaczane, a mieszkańcy każdej z nich dziesiątkowani.

Nie wytłumaczonem zdawało się nadchodzącym Francuzom, iż okręty angielskie stały w miejscu i nie zbliżały się wcale ku brzegom; lecz później dowiedzieli się oni, iż te statki wiozły tylko część artylerji i że wyprzedziwszy resztę transportów czekały, aby wylądować.

Z powodu więc tej ostatniej okoliczności, miasto Menda, pozbawione spodziewanych obrońców, których zdawało się zapowiadać ukazanie się żagli angielskich, otoczone zostało przez korpus francuski bez żadnej trudności, a mieszkańcy zdjęci trwogą zdali się na łaskę generała Verdier.

Przewódzcy rzezi Francuzów, przez poświęcenie — które często zdarza się na półwyspie Iberyjskim, — przewidując że miasto mogłoby być wystawione na pastwę płomieni, a cała ludność zdziesiątkowaną, oddali się sami w ręce generała, który przyjął tę ofiarę, pod warunkiem jednak, że i mieszkańcy zamku od ostatniego sługi aż do samego Markiza, oddani mu także zostaną.

Po potwierdzeniu kapitulacji, generał przyrzekł ułaskawić resztę ludności i zabronić żołnierzom rabunku. Znaczna tylko kontrybucja została nałożoną, a najbogatsi mieszkańcy ofiarowali się jako zakładnicy, dla zapewnienia wypłaty, która w 24 godzinach miała być uskutecznioną.

Generał przedsięwziął wszelkie środki ostrożności dla zabezpieczenia swych oddziałów, i zabronił żołnierzom kwaterować się po domach, a rozłożywszy wojsko obozem za miastem wszedł do zamku i objął go prawem wojennem. Całą rodzinę y Legania i służbę zamkową skrępowano powrozami i umieszczono pod ścisłą strażą w sali gdzie bal się odbywał. Sztab główny pomieścił się w sąsiedniej galerji i tam generał zwołał radę wojenną dla przedsięwzięcia środków mogących przeszkodzić wylądowaniu okrętów angielskich.

Po wysłaniu adjutanta do marszałka Ney'a, uradzono ustawić baterję artylerji na wybrzeżu; potem zajęto się jeńcami.

Z sali, w której byli więźnie zamkowi, widać było terasę. Tam wiąc rozstrzelano dwunastu przewódzców, którzy się poświęcili dla ocalenia miasta, oddając się sami w ręce generała, poczem kazano postawić tyle szubienic ilu było więźniów w sali i przywołano kata z miasta. Zanim ten nadszedł, Wiktor Marchand miał czas odwidzieć skrępowanego Markiza i jego familję w sali balowej, a powróciwszy ztamtąd rzekł do generała:

— Markiz widząc stawiane szubienice, błaga cię generale, abyś dla niego i dla jego rodziny zmienił rodzaj kary śmierci, i jako szlachciców kazał stracić przez miecz.

— Niech i tak będzie! — odpowiedział generał.

— Proszą o udzielenie im pomocy religijnej i o oswobodzenie z więzów, obiecując iż nie będą usiłowali uciekać.

— Pozwolę i na to, lecz ty za nich odpowiesz.

— Starzec przytem ofiaruje cały swój majątek za uwolnienie od śmierci jednego z trzech synów.

— Doprawdy! — rzekł z ironją generał. Dobra jego już są własnością króla Józefa...

Lecz w tej chwili myśl pogardliwa zmarszczyła czoło generała, i dodał:

— Przewyższę jego żądanie. Odgaduję ważność prośby.... A więc dobrze. Niechaj okupi przejście swego nazwiska do potomności, ale niech Hiszpanja popamięta na zawsze w jaki sposób umiemy karać zdradę. Pozostawię majątek i życie temu z synów, który podejmie się wypełnić obowiązek kata. Idź!... i więcej nie mów mi o tem.

Dano do stołu. Oficerowie zasiadłszy, zaspakajali apetyt trudami zaostrzony. Wiktor Marchand nie mógł jeść, a po długiem wahaniu wszedł do sali gdzie była dumna rodzina y Lagania i rzucił smutne spojrzenie na igrzysko losu. Wczorajszego wieczora widział porwane szałem walca wirujące głowy dwóch młodych dziewic i trzech młodzieńców, a w kilkanaście godzin potem te piękne głowy miały paść pod mieczem kata!

Ojciec, matka, trzej synowie i dwie córki siedzieli w złoconych fotelach w stanie zupełnej bezwładności. Ośmiu służących stało z rękoma z tyłu związanemi. Piętnaście osób patrzyło na siebie poważnie, a wzrok ich zdradzał zaledwo uczucia które miotały niemi, to jest głęboką rezygnację połączoną z żalem chybionego przedsięwzięcia. Nieruchomi żołnierze strzegli więźniów, szanując boleść swych zaciętych nieprzyjaciół. (D. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

I.

POKŁADY OKRESU POTOPOWEGO.

Diluvium zatem, czyli pokłady potopu, są to w skutek zwietrzenia odpadłe z gór lub podnioślejszego gruntu rumowiska, naniesione w doliny wodami.

Jako najświeższe formacje geologiczne, spoczęły wszędzie te rumowiska i wapienie Diluvium na najwyższych warstwach formacji trzeciorzędowej, chociaż pytanie, czy można gdziekolwiek oznaczyć miejsce, w którem się sformował ów pokład trzeciorzędowy. W nizinie Renu leżą pokłady potopowe prawie bez wyjątku na formacji trzeciorzędowej, ale głębszej, czyli miocenicznej. W innych miejscowościach spoczęły one na pokładach kredowych albo Jurasowych, czyli jeszcze starszych a głębszych, których wieku nie oblicza już geologja na tysiące, ale na lat miljony.

Większa część miast europejskich stanęła na rumowiskach i mule piaskowym potopu, którego ślady napotykamy w pieczarach, piwnicach, studniach i wszędzie kopiąc. Na każdym niemal kroku w miastach i po gościńcach, potrącamy o te kamienie błędne potopu. Są to jedyni towarzysze nasi i po śmierci nawet. I ślad zaginie po wielu znajomych i przyjaciołach, i nasze szczątki znikną, a te odwieczne okruchy potopu znikną chyba wraz z ziemią. Po przez te nasypy rumowisk i pokłady piasku przesącza się woda deszczowa, rzeczna, stopionych śniegów, i zatrzymuje się dopiero w głębi na nieprzepuszczalnych warstwach glinki stężałej. Tam osiada, jako woda zaskórna, zkąd wydobywamy ją napowrót za pomocą pomp do użytku w domu. Niektórzy badacze twierdzą, że zanieczyszczenie pokładów rumowisk i wody pod niemi odchodami z mieszkań, to główna przyczyna rozszerzania się cholery, tyfusu (durzycy) i innych chorób zaraźliwych.

Pokłady potopowe rumowisk, piasku i glinki nie przedstawiają prawie żadnej wartości pod względem mineralogicznym lub przemysłowym, wyjątkowo zaś dostarczają tylko materjału budowlanego i żwirówki na gościńce. Piasek kwarcowy służy prawie wszędzie za rozczyn do wapna, przeznaczonego do murowania, z gliny zaś wiadomo ile to co roku wypala się cegieł rozmaitych. Na wspomnienie jednak zasługuje to, że w niektórych krajach, jak w górach Uralskich, w Australji, w Kaliforni i Brazylji, napotyka się w diluwialnych rumowiskach złoto, platynę i cenne nawet kamienie, w innych zaś miejscowościach znajduje się w obfitości rudę cynową.

Od dawna już zajmowało geologów zagadnienie, co mogło sprowadzić tak olbrzymie potopy i powodzie, których ślady do dziś widoczne. Bo skutki powodzi bijące są w oczy na płaszczyznach zamulonych rumowiskami, na urwiskach w parowach i na wyższych jeszcze pokładach kwarcu i gliny naszych wzgórz. Że to były wody płynące, podobne do rzek dzisiejszych, ale nierównie większe, gwałtowniejsze, to nie ulega wątpliwości. Całkowity jednak brak małży morskich i nierzadkie resztki zwierząt lądowych, nie dopuszczają wniosku, by te najświeższego okresu ziemi okolice, były kiedykolwiek zalane morzem. Niepodobna nam tu jednak rozpisywać się o wszystkich teorjach, wysnutych dotychczas celem objaśnienia tych nadzwyczajnych zjawisk. Większa część geologów nowoczesnych sądzi, że wszystkie te powodzie powstały wskutek topienia się śniegów i lodowców, które w owym okresie rozciągały się prawdopodobnie od Alp i Pirenejów, tudzież z północy waląc się na większą część Europy. Zdaje się nawet, że i mniejsze góry, jak Wogezy i Las czarny miały podówczas także lodowce swoje.

Przypuszczenie to popierają liczne głazy błędne i rumowiska spiętrzone na przestrzeniach płaszczyzn europejskich i Ameryki północnej. Są one podobniuteńkie do tych, jakie i dziś pozostają po lodowcach. Tak samo płynęły one z północy morzem aż w odległe strony południowe, oderwawszy się z lodowców, w których zamknięte były głazy skaliste, jak to dzieje się po dzień dzisiejszy. To też szczególniej wielkie poniże Niemiec północnych pokrywa mnóstwo głazów błędnych, szczątków skał pochodzących niewątpliwie ze Skandynawji i Finlandji. Pokłady więc rumowisk i mułów naszych są w takim razie rumowiskiem, naniesionem w lodowcach przez owoczesne powodzie.

Zasadniczą myśl o pierwotnem rozszerzeniu się lodowców jednocześnie z potopowym okresem, rzucił pierwszy Venetz, a dopiero od lat czterdziestu przyjęli i doprowadzili do śmielszych rezultatów w badaniach Charpentier, Agassiz, Forbes i w. i. Zrazu większa część geologów odrzucała stanowczo przypuszczenie, jakoby czas zimna przypadał jednocześnie z potopem, ale obecnie zostało to przyjęte jako fakt stwierdzony niejednokrotnie coraz nowszemi odkryciami.

Niezmierne rozszerzenie się lodowców w czasie powszechnego zimna, czyli w okresie lodu, stwierdzone zostało przynajmniej co do Europy i Ameryki północnej. Ale fakt ten nasuwa oraz domysł uzasadniony, że w tych częściach świata musiał być klimat wilgotniejszy, śnieżny i deszczowy. Domysł zaś staje się niemal pewnikiem, gdyż stwierdzają go istniejące podówczas w tych okolicach światy zwierzęcy i roślinny.*)

Nietylko samo tajenie lodów, w wielkiej ilości rozszerzonych w strefie północnej mogło wpłynąć na wzmożenie się powodzi okresu potopowego, gdyż nie mało przyczyniły się do tego także zmiany atmosferyczne, wilgotnego raczej niż nadzwyczajnie zimnego klimatu. Ale znowuż nie wyobrażajmy sobie, by tamtoczesne zmiany były tak nagłe, jak naprzykład dzisiejsze wypadki sprowadzające powodzie. Nie — odbywało się to powolnie, wieki całe, lat tysiące przez nieustanne przybywanie wody, choć także z pewnemi przerwami. Cóż jeszcze mogło spowodować powodzie na mniejszą już skalę, nawet wtedy, gdy wody wielkie były w odwrocie i kiedy przyczyniły się może do wymycia głębszych łożysk rzek naszych? Oto przyczyną ich wznoszenie się i zagłębianie powierzchni ziemi, wyparowanie dolin wskutek zasypania ich przez głazy z lodowców i rumowiska z gór, a za tem idące osychanie jezior górskich, jakoteż trzęsienia ziemi w sąsiedztwie mniejszych i większych jezior.

Szukajmy jednak więcej danych, które mogły być przyczyną okresu lodowego, i które spowodowały obniżenie temperatury w krajach cieplejszych i umiarkowanych strefy północnej w perjodzie potopowym. Pierwszym tu domysłem, stwierdzonym zresztą postrzeżeniami jest, że podówczas ziemia i morze przedstawiały zupełnie inną od dziś znanej, postać figuryczną, za czem też szedł i odmienny kierunek prądów morskich i powietrznych. A są to, jak uczy doświadczenie, wpływy nader ważne, zmieniające prawie stanowczo klimat pojedyńczych krajów. Przypominamy tu jedynie łagodny klimat północnych krajów i wysp oblanych ciepłemi prądami morza i odlewisk jego.

Najświeższe badania doprowadziły do innych jeszcze przypuszczeń. Idąc w ślady Adhemara usiłowano objaśnić obniżenie temperatury w czasie lodów stosunkami astronomicznemi. Wnioskowano mianowicie z powolnie pochylającej się osi kuli ziemskiej w ciągu 21.000 lat ku płaszczyźnie ekliptyki i z podlegającej wahaniu się czyli kołysaniu ziemi, a w skutek tego zmienianiu jej położenia w ciągu dłuższego jeszcze jak poprzedni perjodu. Ztąd nastaje kolejno to na północnej, to znowu na południowej półkuli zima dłuższa przez pewien przeciąg lat, lata zaś krótsze, a w skutek czego także zbiera się to na biegunie północnym, to południowym więcej śniegów i lodu. Także i niejednostajny podział mórz, a słowem masy wód lub ziemi, przypisywano sile pociągającej w skutek nagromadzenia się większej ilości lodów to na jednym, to na drugim biegunie. (C. d. n.)

*) Faunę a nadewszystko florę okolic szwajcarskich z okresu potopowego, przedstawił profesor Oswald Heer w rozprawie bardzo zajmującej i pouczającej pod tytułem: „Świat pierwotny Szwajcarji“ (Urwelt der Schweiz.) Bliższe szczegóły o roślinach okresu lodowego i potopowego zawdzięczamy także hrabiemu Gastonowi de Saporta, który także przypuszcza raczej klimat podówczas więcej wilgotny, niż zimny.

UCZONY.

(Ciąg dalszy.)

Ludzkość? — Marne słowo!
Jam dla niej serce poświęcił i głowę...
Chciałem jej wytknąć drogoskazy nowe,
Odgadnąć ciemny wszechświata początek,
I z tego wysnuć dla przyszłości wątek!...
Dla niej człowiecze serce pogrzebałem,
Żądz się wyrzekłem i roskoszy świata —
I jakąż za to nagrodę zyskałem?
Los mną na równi z głupcami pomiata.
Na moją srebrną od starości głowę
Pada śmiech tłumu i wichry grudniowe!
Czem jest ta ludzkość? — Czem? Bezmyślną trzodą,
Którą pasterze na rzeź krwawą wiodą,
Zamiast na gody; a ona wesoła
Ze swojej nędzy, uchylając czoła
Śmieje się płacząc i krwawiąc... Czem ona,
Skoro spokojnie spogląda, jak kona
Ten, który dla niej zamęczył się pracą?
Na pośmiewiska przebiją się palu
I zamiast westchnień, współczucia i żalu
Twe poświęcenie wzgardą ci odpłacą!
Za twoje prace, za sterane lata,
Przypną litośni ci tytuł warjata —
Motłoch cię weźmie za zdrajcę i wroga...
Ludzkość — to plemię zbękarcone Boga!...

(po chwili)

Nie — ja na ludzkość skarżyć się nie mogę,
Niesłuszniem gorzką ją myślą obwinił,
Bo cóżem dla tej ludzkości uczynił?
Czyż jej wytknąłem szczęśliwości drogę?
Czyliż ta ludzkość prosiła mię o to,
Bym dla niej — przestał być jej zwykłym synem?
Czyż poświecenie to jest zresztą cnotą,
A może raczej samolubstwa czynem?
O biada, biada! — Jeśli kto dla siebie,
Dla mrzonek snutych z własnej wyobraźni,
Zrzeknie się szczęścia na ziemi i w niebie,
Wrodzonych uczuć — miłości — przyjaźni —
Jeśli jak dziki zwierz żyje wśród ludzi
I gardzi nimi, choć się dla nich trudzi!...

(pauza)

O nieobaczny! Pył, którym wiatr miota,
Zachciałem tęczy z kryształów i złota,
Robak, co czołga po nikczemnym żwirze,
Jam chciał ku niebu wzbić się w loty chyże.
Nędzny twór ziemi, w który z wysokości
Bóg rzucił ziarno cnoty i miłości,
Zamiast ukorzyć się przed swoim panem...
Jam nieobaczny pragnął być Tytanem!
Po trupie serca i uczucia kwiatów
Chciałem się wedrzeć aż do pana światów
Ażeby w oczy mu cisnąć pytanie:
Skąd, po co, na co twoje panowanie?
O nieobaczny! — Wielka moja wina!
Dzisiaj około mnie straszna ruina,
Samotny jestem, biedny i rozpaczny,
A to przez własną winę — nieobaczny!
W zimnej nauce znaleźć szczęście chciałem,
Chciałem być duchem — pogardziłem ciałem —
Nad życie-m przeniósł samotność ponurą,
O jakże strasznie ty się mścisz, naturo!
Dziś nie mam miejsca, gdziebym złożył głowę
Strojoną w głogi i listki laurowe!

(pauza)

Byłem też kiedyś młody, rześki, hoży,
W sercu mem jasno tlił się płomień boży
Rwał się do świata życia i roskoszy,
Jak ptak gdy z gniazdka macierz go wypłoszy....
Mogłem mieć szczęście, radość, żonę, dzieci —
Na starość gniazdko ciche wśród zamieci,
Mogłem mieć wszystko to, co mają inni,
Mogłem mieć więcej — powinienem więcej,
Bo od miljonów kochałem goręcej,
Bom od tysiący czuł i myślał więcej....
Mogłem mieć wszystko, co człowiek mieć może,
A choćbyś szczęścia nie dozwolił, Boże,
Mogłem próbować, — mogłem pragnień tysiąc
Stopić na jedno, mogłem się odprzysiądz
Skalistych ścieżek do wulkanu sławy,
I pójść gościńcem, który tłum wydeptał,
Jasnym gościńcem roskoszy, zabawy —
Taką poradę anioł krwi mi szeptał,
Jam ją odrzucił! — O tak, bezpowrotnie!

(po chwili — wpada w zadumę)

Pamiętam.... W gaju mała chatka stała,
Gaj szumiał tęskno i jęczał samotnie;
Pod nim rzeczułka srebrzysta płakała
I odbijała w piersi złotopiaskiej
Nadbrzeżne drzewa i słoneczne blaski...
Przed chatką strojną w liście winogradu
Mały ogródek, za nim kawał sadu,
Zboża łan długi okiem nieprzebyty
I łąk zielonych miękkie aksamity.
Co to za roskosz była, gdy przed chatką
Siadłem na przyzbie z siostrzyczką i matką —
Złotych motyli rój latał nad nami,
Czarne jaskółki biły skrzydełkami
W srebro rzeczułki... Gwarnym korowodem
Wracały z pola złote pszczółki z miodem —
Ptastwo śpiewało... Słońcem ozłoconą
Składałem główkę na matczyne łono,
A ona tuląc główki dzieci rzewnie
Prawiła skazki o dawnych rycerzach,
O złych genjuszach — zaklętej królewnie...

(długa pauza)

Głupcze! Rozczulasz się jak małe dziecię,
Choć wiesz, że bajka tylko bajką przecie!
O! Taką bajkę, której wysłuchałem
Skłoniwszy głowę na matki kolana
Dziśbym opłacił wiedzy gmachem całym!
Cała nauka potem lat oblana —
Tyle roskoszy nie przyniesie pewnie,
Ile o strachach baśń, albo królewnie
Dziecku przez czułą matkę powiedziana!...

. . . .

Pamiętam znowu — było to na wiosnę —
Natura pienia nuciła radosne,
Słońce promieni warkocz złotowłosy
Kąpało w czystych djamentach rosy.
Niebo w zachwycie ogromem stworzenia
Utkwiło wzrok swój w źrenicy strumienia, —
Ukryty w słońca zachodniej purpurze
Bóg się z uśmiechem przyglądał naturze.
Poszedłem dumać w cienistym szpalerze —
Ujrzałem dziewczę, jako wiosna świeże,
Z złocistym włosem, różami na twarzy....
W jej oku żar się młodociany żarzy,
Mgłą lekką wstydu dziewiczego skryty....
Duszę mą czaru objęły zachwyty —
Przystąpiłem — ukląkłem — ona złote włoski
Ku mej płonącej pochyliła głowie
I rzekła: „Kocham“ — O w tem jednem słowie
Cały świat cudów nadziemskich zaklęty,
Jakiś różany świat — roskoszą boski —
Pełen aniołów — róż — słowiczych pieśni

O jakich człek dwa razy nawet nie śni!...
Jak ja słuchałem słów tych! — Dusza cała
Zda się, że w niebo wraz z ciałem leciała —
Ciało się stało duchem — dusza ciałem —
Byłem szczęśliwy — kochany — kochałem!

(po chwili z boleścią)

Wszystko rzuciłem — wyrzekłem się nieba
Bom sądził że mi z ciałem zerwać trzeba.
Zamknąłem serce przed niemi...
O, jakżem przy swej nauce był głupi!
Za życia w całun oblokłem się trupi
I dziś dopiero w tem nagniłem pruchnie
Poznałem, że ten całun — trupem cuchnie!
Włos mi posiwiał, spopielały lica,
Mgłami starości zasuta źrenica
Nie może słońcu spojrzeć w skrawe oko...
Nogi się chwieją, lód mam w całem ciele,
Tylko w mem sercu krwi wrzące sirocco
Zmarłych pamiątek rozrzuca piszczele!
Dziś mi nie żądać szczęścia ni miłości...
Zapóźno! — Czembym przyjął takich gości?
Od siwych włosów czuła miłość stroni,
Od samoluba i szczęście ucieka...
Stoję nad grobem do wieczności toni
Życia kropelka za kropelką ścieka..
Lecz mam naukę!

(pauza)

Choćbym i wierzył, że pracując dalej,
Okruch tej wiedzy, który mam w mej głowie
Wreszcie się w prawdy djament skrysztali
I światu wszemu objawi się w słowie —
Czyż nie wiem razem, żeby dójść do tego
Trzeba wiekowej pracy, ciężkiej, żmudnej,
A chwile życia jakże prędko biegą!...
Próżna nadzieja, a cel mój przytrudny!
Przez długie lata w myśleniu i nędzy
Stargałem ciało tak samo, jak duszę,
A chwila skonu mego przyjdzie mi prędzej,
Niżby powinna była... O katusze!
Co czynić?

(zrywa się nagle z gwałtownością)

Tacy, którzy myśli szmaty
Swoich i cudzych spoiwszy z mozołą
I w ten strój błazna, jak gdyby w szkarłaty
Oblókłszy ciało, w górę wznoszą czoło
I stawiąc kroki niepewne, koszlawe
Przed ludem kroczą jak gdyby proroki,
Mają potęgę, znaczenie i sławę!
Między ślepymi królem jednooki!
Takim dziś jeszcze mógłbym być z łatwością!
Precz taka myśli! — Taka myśl podłością!
Temu kto długich lat pracą mozolną
Stwórcy chciał wykraść prawdy światło boże,
Temu, tej drogi opuszczać nie wolno,
Jam król! — Król błaznem tłumów być nie może!
Tak — choć wzgardzony i przed sobą mały,
Czuję się w obec innych wielkim jeszcze —
Często mię święte kołyszą zapały,
Często natchnienia przechodzą mnie dreszcze!
Dla próżnej sławy piersi mej skrwawionej
Przed zimnym wzrokiem tłumu nie roztworzę,
By tym widokiem napaść tłum spodlony —
Hańbą jest w błoto rzucać perły boże!
Zresztą cóż przez to zyskałbym? Garść sławy!
Pustych oklasków, pęcherzowej wrzawy!...
Był czas, że życia mojego połowę
Byłbym dał za nią! — Lecz dziś?

(z największą gwałtownością graniczącą prawie z szaleństwem śmiejąc się gorzko).

Sławy? Sławy?
Ja jej nie żądam! — Czyż ta muz kochanka
Ogień rozniecí w kominie? kulawy
Stół mój naprawi? Wina naleje do dzbanka?

(pada wysilony na krzesło)

(Dok. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział III.

P. Tadeusz pocałował żonę, która go przyjęła słodkim wyrzutem, że zabawił w mieście dłużej, niż obiecał. Następnie obrócił się do Helenki, która stanąwszy nieruchoma na boku, wpatrywała się pilnie w panią Zamecką swojemi dużemi, czarnemi oczyma. P. Tadeusz wziął ją za rękę.

— Oto jest moja wychowanka, Helena Grodecka. Mam nadzieję, moja droga, że pokochasz ją, jak własną córkę.

Głos p. Zameckiego drżał przy tych słowach, podczas gdy druga para dużych, czarnych oczu odwzajemniła na chwilę badawcze spojrzenie młodej dziewczyny. Na chwilę tylko, bo jak jednoimienne bieguny igieł magnetycznych, tak spojrzenia matki i córki odepchnęły się nawzajem. Nastąpiła krótka, milcząca, kłopotliwa scena, podczas której na oko żadna z osób obecnych nie wiedziała, co począć. Tak przynajmniej zdawało się p. Zameckiej. Zdawało jej się, że nawet lokaj stojący z kapeluszem w ręku na kamiennych schodach ganku, nawet woźnica na koźle przed tym gankiem miał minę zakłopotaną, że Tadeusz radby był schować się pod ziemię, a ta piękna, szesnastoletnia brunetka o rysach tak znajomych, stała przed nią jak delinkwentka, schwytana na gorącym uczynku zbrodni — tak, zbrodni — zbrodni przyjścia na świat i życia. Zdawało się to wszystko pani Zameckiej, w istocie bowiem, ona jedna tylko, dotychczas zawsze pani swoich ruchów, słów, i wyrazu swojej twarzy, teraz straciła była tę władzę, wykonywaną zazwyczaj z nieporównanem mistrzowstwem. Szybko atoli spostrzegła się, że sama miała minę delinkwentki, ocknęła się i usiłowała odegrać rolę, oddawna na ten wypadek ułożoną. Siły nie dopisały. Miała być czułą, miała z macierzyńską tkliwością przytulić sierotę do swego łona, Tadeusz miał widzieć łzy w jej oczach. Nic z tego. Zaledwie zdołała wyjąknąć początek konwencjonalnego frazesu:

— Bardzo mi miło.... Zaledwie zdołała zbliżyć usta do czoła młodej dziewczyny. „Był to pocałunek z lodu“ — pisała później Helenka do swoich sióstr w mieście — „pocałunek, który mię przejął dreszczem. Miałam takie uczucie, jak gdyby mię trup całował.“

Pan Tadeusz położył koniec tej sytuacji, gdy wydawszy kilka rozkazów służbie, zaproponował przejście do salonu, z którego drzwi parapetowe prowadziły do ogrodu, i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Zgorzelski jest tutaj? — zapytał.

— Ach, jest — odparła pani Zamecka znudzonym tonem, odzyskawszy całą władzę nad sobą. — Jest w ogrodzie, z Wandą. Podobnoś już nareszcie zdecydował się pomówić z nią stanowczo. Przynajmniej, w przeciągu tygodnia, trzy razy je dził do miasta, w jakichś niby interesach, a dzisiaj prosto z kolei żelaznej pojawił się w Rymiszowie i ponieważ nie byłam jeszcze ubraną, prosiłam Wandzię, by go przyjęła. Zobaczymy, co z tego będzie, oto idą nasi państwo.

Zapoznano Helenkę z Wandzią, i obiecano obydwom niezmiernie wiele przyjemności z tego powodu. Następnie przedstawiono p. Zgorzelskiego, który nie tracąc kontenansu oświadczył, że miał już zaszczyt przedstawić się pannie Grodeckiej sam, u państwa Skryptowiczów, i natychmiast z największem zajęciem począł wypytywać się o zdrowie p. Karola, p. Karolowej, i ich córek. Rozmawiał z wielką werwą, zapewniał Helenkę, że w Rymiszowie nie będzie żałowała przyjemności miejskich, obiecywał zwrócić jej uwagę na piękności okolicy, a nawet posunął się aż do propozycji, że będzie ją uczył jeździć konno. P. Tadeusz wyszedł był tymczasem do swojego pokoju, a p. Zamecka zbliżyła się do Wandzi i objąwszy jej kibić ramieniem, poszła z nią do okna, gdzie obydwie szeptały coś przez chwilę. Helenka uważała, że Wandzia na jakieś zapytanie p. Zameckiej smutnie potrzęsła głową, poczem ta ostatnia zrobiła ruch niecierpliwy i odeszła w stronę, w którą jej mąż był się oddalił.

P. Zamecka zastała go w jego pokoju przy nader prozaicznem zajęciu, wyjmował bowiem z kuferka podróżnego jakieś papiery opieczętowane, które następnie schował do ogniotrwałej kasy. Mniej prozaicznemi były myśli, które w tej chwili zajmowały p. Tadeusza, a których p. Zamecka widzieć nie mogła, podczas gdy śledziła jego ruchy z kobiecą ciekawością. Gdyby p. Tadeusz miał ów chwalebny zwyczaj, właściwy bohaterom dramatów, a tak znakomicie ułatwiający autorom dramatycznym odmalowanie ich uczuć i walk wewnętrznych, tj. gdyby był myślał głośno, byłby wyrecytował mniej więcej następujący monolog:

„Zdaje mi się, że domyśliła się wszystkiego bo była bardzo zmięszaną na widok Helenki. Jeżeli wątpi jeszcze, naprowadzi ją na trop ta okoliczność, że Helenka nazywa Karola wujem, czem dla niej jest w istocie. Nie wiem dla czego wolałbym, gdybym był widział więcej uczucia w twarzy Heleny, gdy po raz pierwszy ujrzała swoją córkę. Dzika to wszakże pretensja z mojej strony, zważywszy, iż wielkie wzruszenia objawiają się w życiu inaczej niż na scenie, a we wszystkich wykrzyknikach i łzach pisanych i granych, nie ma ani trochę prawdy. Helena była wzruszoną; widziałem, jak zbladła. Kto wie, czy domyśliwszy się, kogo ma przed sobą, nie miała wątpliwości co do roli, jaką ja odgrywam w tem wszystkiem? Otóż znowu niedorzeczne z mojej strony pytanie! Jużci, że miała taką wątpliwość, jużci że nie wiedziała, czy ja wiem, lub nie wiem, kogo jej przywiozłem! Pokocha ją tymczasem z pewnością, pokochać ją musi, to dziecko ma w sobie jakiś czar, który przyciąga ku niemu wszystkie serca. Ja sam kocham ją od owego dnia, kiedyśmy ją przywieźli do miasta razem z Karolem. Możnaby zapełnić cały rozdział jakiego sentymentalnego romansu tą moją miłością. Wszystko co miłość ma w sobie egoistycznego i co ma materjalnego, to u mnie odnosi się do Heleny, wszystko co jest niesamolubnego, wznioślejszego w tem uczuciu odnosi się do jej córki. Jedna mi uzupełnia drugą. Jedna przyzwyczaiła się do mnie, a druga patrzy na mnie jak na swego opiekuńczego ducha. Kiedy przyjechałem zabrać ją od Karola, i kiedy ją zapytałem, czemu taka smutna i zapłakana, jej oczy z taką otuchą spoczęły na mnie, jak gdyby czerpała pociechę i nadzieję ze współczucia, jakie jej okazałem. Biedniątko! Dla szesnastoletniego serduszka kwestje miłosne są kwestjami życia lub śmierci. Poradzimy na zmartwienie, poradzimy, moja mała — muszę tylko

przed objadem jeszcze pójść na plebanię i związać tego Rolińskiego kontraktem do prowadzenia budowy tartaku, której kosztorys wypracować mu poleciłem — obecność Helenki spłoszy go i uciekłby niezawodnie. Rzadki to charakter, nie powiem, jak na dzisiejsze, ale jak na wszystkie czasy. Już to nawiasem powiedziawszy, być może, że dzisiejsze encyklopedyczne wykształcenie utrudnia wyrabianie się charakterów, bo cechą każdego charakteru jest pewna jednostronność w zapatrywaniu się na świat, na ludzi i na siebie samego, podczas gdy encyklopedyczna nasza wiedza czyni nas skłonnymi do pozytywnej analizy i chroni nas od jednostronności. Prawdopodobnie nawet, w miarę szerzenia się pozytywizmu, będziemy mieli coraz mniej artystów i poetów, a w życiu, coraz mniej wybitnych charakterów. Ależ i w romantycznych wiekach, ubodzy rycerze i giermkowie wykradali córki królów i książąt, a tu dziś chudy pachołek kocha się w pannie i ucieka od niej dowiedziawszy się, że jest posażną! Takiemu radbym zostawił mój majątek, zrobi on z niego lepszy użytek, niż ja, bo uważając posag jako własność żony, zechce stać własną pracą i przez nią wyrobić sobie stanowisko niezawisłe i szanowane. Gdybym był wziął posażną żonę, byłbym także tak postępował, ponieważ zaś mam własny majątek, nie pracuję wcale. Mało nawet zajmuję się sprawami publicznemi, bo jakoś z kochanymi moimi sąsiadami na żadnym kroku zgodzić się nie mogę. Godzi się tedy to com winien ogółowi, a czego mu nie daję, wynagrodzić przynajmniej jednostkom, które na to zasługują..."

— To jest w istocie rzeczą nie do uwierzenia, rzekła w tej chwili p. Zamecka, przerywając swemu mężowi jego pomyślany a nie wypowiedziany monolog — wyobraź sobie, że Zgorzelski jeszcze nie oświadczył się Wandzie! Zmiłuj się i pomów z nim raz stanowczo, bo to już doprawdy nie wiem do czego podobne! Zajeżdża tu rankami, przesiaduje do północy, jednem słowem...

— Masz słuszność, moja duszko, przyjechałem nawet z postanowieniem rozmówienia się z p. Alfredem. Oprócz tego, co powiadasz, mam jeszcze i inne powody, dla których życzę sobie, ażeby przestał bywać u nas tak często.

— Masz... inne powody? Czy można wiedzieć, jakie? Pani Zamecka rzuciła to zapytanie od niechcenia, poprawiając „trenę" swojej sukni i odwracając się w tym celu od męża. Serce jej biło gwałtownie, i oczekiwała odpowiedzi, jak się w pojedynku oczekuje strzału przeciwnika. Strzał nie padł.

— Są to powody bardzo niesmacznej, a bardzo przy tem pocieszniej natury. Zgorzelski po jakiejś birbantce spotkał na ulicy córki Karola, wracające z kościoła wraz z Helenką, i zaczął z niemi rozmowę, wziąwszy je prawdopodobnie za jakie gryzetki. Dziewczęta uciekły i poskarżyły się ojcu, a ponieważ p. Alfred był później tak bezczelnym, że zrobił wizytę Skryptowiczom, więc Karol wziął się do kija i zmusił naszego rycerza do odwrotu przez okno.

— Czy nie powtarzałam zawsze, że jest to człowiek nikczemny? Biedna Wandzia, gdy się dowie o tem, że jej ubóstwiany biega za gryzetkami...

— Mniejsza o to, że biega za gryzetkami, mógł podochocić sobie i nie wiedzieć, co robi. To gorsza, że naraża się na wyrzucenie przez okno, i że faktycznie był wyrzuconym, a już najgorsza, że miał czoło przed chwilą spojrzeć w oczy Helence i przypomnieć jej, iż miał „zaszczyt" przedstawić się jej u państwa Karolów. Przyznam ci się moja duszko, że miałem i mam ochotę postąpić z nim tak, jak Karol, i wzbogacić jego wspomnienia jeszcze jednym „zaszczytem."

— Zrób to, drogi Tadeuszu, zrób, tylko pozwól, niech pójdę i zabiorę panny do ogrodu! Ta nieszczęśliwa Wandeczka nie przeżyłaby tego ciosu. Nie uwierzysz, jak jest w nim zaślepioną. Jestem pewną, że choć jej ta nasza wychowanka opowie wszystko, co się stało, nie zmniejszy to bynajmniej jej uwielbienia dla Zgorzelskiego.

Pani Zamecka musiała zachęcić pannę Wandę do czytania romansów pani Sand, skoro tak śmiało stawiała podobne twierdzenie. Zastanowiło ono pana Tadeusza.

— Tak sądzisz? odparł. Ha, być może. Ale w takim razie... nie radbym rozmawiać się ze Zgorzelskim, czuję bowiem, że nie rozmówilibyśmy się grzecznie. Zirytowała mię jego bezczelność. Wiesz co, moja duszko, zastanów się najpierw, czy nie lepiejby było, gdybyś opowiedziała Wandzi, co się stało, a gdyby jej to nie odjęło ochoty oddania ręki p. Alfredowi, wyręcz mnie i rozmów się z nim sama.

— Cóż ja mu powiem?

— Co? Poczekaj. Nie wiesz przypadkiem, w jakich to interesach on jeździł do miasta? Wszak mówiłaś mi niedawno, że interesa te miały związek z jego staraniem się o rękę Wandy.

— Coś mi tam plótł o tem, ale ty wiesz, że ja mu nigdy nie wierzę. Mówił o jakiejś pożyczce, którą ma otrzymać na Kruchówkę z kasy oszczędności, i to gotówką. Za tę gotówkę miał— oczywiście, gdyby jej nie przegrał w maczka — kupić papiery i temi papierami spłacić bank, a wszystko to razem miało zmniejszyć ciężary na Kruchówce, i tam dalej.

— Czy nie przypominasz sobie dokładnie, ile jest tych ciężarów?

— A dajże mi pokój, jakkolwiek nie wiele mam do czynienia, to przecież zawsze mogę sobie znaleść coś zabawniejszego, niż nosić w głowie ekstrakt tabularny — Kruchówki.

— Masz rację, moja duszko, — odparł p. Tadeusz śmiejąc się. — Otóż, jeżeli się nie mylę, dług bankowy wynosi dwadzieścia tysiacy, i po części już jest spłacony. Nadzieja pożyczki w kasie oszczędności jest zawodną, o czem Zgorzelski przekonał już się niezawodnie. Dlatego też powiedz mu, że ponieważ Wandzia tak długo bawi w naszym domu, iż uważamy ją za należącą do naszej rodziny, przeznaczyliśmy dla niej oprócz wyprawy, dwadzieścia tysięcy posagu. Podług obecnego kursu listów zastawnych, piętnaście tysięcy wystarczy na spłacenie banku, a pięć tysięcy będzie p. Alfred mógł włożyć w gospodarstwo, co na trzystu morgach jest dostatecznem, zwłaszcza gdy nie będzie potrzebował płacić rat bankowych. Powiedz mu to wszystko, moja duszko, i zażądaj, aby się wyraźnie oswiadczył o Wandzię, zwłaszcza, że jako jej przyjaciółka, wiesz dokładnie, jakie stosunki ich łączą. Dopiero gdyby nie przyjął tej racjonalnej i jak sądzę, korzystnej propozycji, to ja się z nim rozmówię. Czy spamiętasz, co powiedziałem?

— Mam nadzieję, że spamiętam, ale przyznam ci się, że nie mam najmniejszej ochoty konferowania z p. Zgorzelskim. Ten człowiek irytuje mię swojemi kłamstwami do najwyższego stopnia.

— Nic to nie zaszkodzi, moja duszko, że cię trochę irytuje, przedstawisz mu sprawę z tem większą energją, podczas gdy ja, jeżelibym się zirytował, mógłbym tej energji rozwinąć więcej, niżby to było pożądanem dla szczęścia i spokoju Wandy.

— Ach prawda, ta biedna Wandzia!

— Więc podejmujesz się tej dyplomatycznej misji, moja duszko?

— Cóż robić, muszę.

— To wybornie. Ja tymczasem pójdę na probostwo, bo mam interes do ks. Chyżyckiego, a raczej do drugiego z naszych zakochanych. Boję się, aby nie uciekł, gdy zobaczy Helenkę.

— Jakże go zatrzymasz?

— Wezmę od niego zobowiązanie pisemne, że mi postawi tartak parowy. Myśl nie zła, nie prawdaż? Żadnemu idealiście coś podobnego nie przyszłoby do głowy!

— W istocie, tartak parowy, to rzecz bardzo pozytywna.

P. Tadeusz wziął kapelusz i laskę, i poszedł na plebanję, a pani Helena wróciwszy do salonu, oświadczyła uroczyście, rzucając znaczące spojrzenie na Wandzię, p. Zgorzelskiemu, że ma z nim parę słów do pomówienia z polecenia swojego męża, i że go prosi do swego buduaru. Obydwie panienki skorzystały z półgodzinnej nieobecności osób starszych, która teraz nastąpiła, ażeby zawrzeć dozgonną przyjaźń i wyspowiadać się sobie nawzajem ze swoich uczuć, cierpień i nadziei. Helenka była atoli mniej wylaną, a dowiedziąwszy się, jak mocno Wandzia zajmowała się p. Alfredem, nie wspomniała wcale o przebiegu jego wizyty u pp. Skryptowiczów.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

TOM II.

I.

Pochód w głąb Afryki.

Między moimi ludźmi znajdowało się kilku krajowców, którzy dłuższy czas przebywali z nami w Gondokoro. Jeden z nich nazwiskiem Pittia, słysząc te daremne perswazje, wysunął się naprzód i usiłował skłonić szejka, żeby kazał uderzyć w swój duży bęben (nogara) i zwoławszy ludzi wyłożył im, czego od nich żądamy i pokazał krowy, jakie za ten trud otrzymają. Projekt ten poszedł nie w smak szejkowi i wstając ze siedzenia oddalił się, obiecując zabębnić, ale ja, znając naturę tych ludzi, wiedziałem już naprzód, że tego nie zrobi. Tuż prawie za odchodzącym Beddenem pospieszył Pittia w zamiarze wyszpiegowania co będzie mówił do swoich ludzi; ja tymczasem siadając na łódź, kazałem się przewieść na wschodni brzeg. Okręty na w pół wyładowane, stały jednym szeregiem koło brzegu, a znaczna ilość mieszkańców, łącząc się w pojedyńcze grupy, przypatrywała się wynoszonym ładunkom. Zbliżyłem się do nich, starając się namówić do udzielenia nam pomocy w przeniesieniu rzeczy, ale wszystkie słowa moje były na wiatr rzucone. Jedną i tę samą odbierałem usta-

wicznie odpowiedź: — „My należymy do szejka i jeżeli on nam każe to wszystko zrobimy, bez jego jednak rozporządzenia nic nie możemy“. Oto niezmienny wykręt, używany w Afryce, gdy się jakiejkolwiek wymaga rzeczy; ludność mówi: „my musimy odebrać rozkaz od szejka“, szejk wymawia się: — „ja bym chciał, ale lud mój jest niechętny, i nie słucha moich rozporządzeń.“ Ta bierna opozycja może czasem do rozpaczy doprowadzić i zwichnąć cały plan ekspedycji. Kto tylko zażył szczęścia podróży po Afryce, może coś powiedzieć o przyjemności zostania się z całym transportem bagaży bez możności przeniesienia go dalej. Podróżnik w takim razie może sobie usiąść na swoich tłumokach, póki nie zakamienieje w statuę cierpliwości. Jest tylko jeden sposób dogodnego podróżowania z transportem towarów, a to z wielbłądami; zatamowany jednak stan żeglugi Nilu pozbawił mnie tych nieodzownych zwierząt i zmusił do pozostawania na łasce nędznego plemienia Barysów.

Pułkownik Abdel-Kader doradzał mi, bym porwał szejka Bedden, i trzymał go w więzach, póki lud jego nie dostawi naszych ładunków do Loboré. Sposób ten mógł być nie złym, ale również mógł spowodować wojnę, która byłaby czynem może koniecznym, ale trudno dającym się pogodzić z wyobrażeniami cywilizowanego świata.

Drugiego dnia z rana, przyszedł Pittia ze swej wycieczki, bardzo złe przynosząc nowiny. Szejk kazał mi tylko lakoniczną zanieść odpowiedź: „Ludzi nie zwoła i rzeczy moich transportować nie będą.“ Tymczasem mieszkańcy opuścili pobliskie osady i bydło swoje daleko w góry pognali. Wszystkie te przygotowania obudziły we mnie podejrzenie dobrze uzasadnione, iż krajowcy zamierzają obłupić nas ze stada bez trudu zarobienia na nie. Miałem 2.500 sztuk bydła i 1.800 kóz, pasących się co rana na brzegach rzeki, a nocą pilnowanych przez linję żołnierzy śpiących dokoła. W takim stanie kilka wypuszczonych strzał mogłyby tak źle zabezpieczone stado wprawić w popłoch, a raz rozbiegłe, byłoby dla nas na zawsze zgubione. Nie było czasu do stracenia, rozkazałem natychmiast zająć trzy opuszczone zagrody położone na wzgórzu, tworzące trójbok, i tam naprędce zrobić oparkanienie z rozłożystych gałęzi heglika, przeplatanych cierniami. Robota szła szybko, oficerowie i ludzie podzielając moje podejrzenia, pracowali z zapałem, i właśnie zaczęło się już zciemniać, gdy parkan stanął gotowy, stado wpędzono do środka, a sześćdziesięciu ludzi, rozstawionych na trzech punktach zewnątrz ogrodzenia, pilnowali, mając baczne oko na okolicę.

Po ukończonych przygotowaniach do nocnej obrony, udałem się na pokład okrętu z porucznikiem Baker, gdzie żona moja czekała już z objadem, trochę zaniepokojona naszym późnym przybyciem. Wieczór był cudny; muskitosy w tej porze nie pojawiały się w okolicy Bedden, chociaż Gondokoro zawsze w nie obfituje, mogliśmy zatem spokojnie używać roskoszy nocnego chłodu i spokoju. Ze wszech stron najgłębsza otaczała nas cisza, żołnierze po największej części pokładli się spać, a ja troski moje puszczając z kłębami dymu, przysłuchiwałem się opowiadaniom porucznika, który malował siedzącej na sofie pani Baker różne przygody morskie. W tem przerywając głębokie milczenie, ozwało się kilka strzałów, odbitych powtarzanem echem o skały.

Prawie jednocześnie rozpoczął się gęsty ogień całej siły rozstawionej w obronie zagrożonego stada; trąbka rzuciła alarm, i w jednej chwili każdy stanął pod bronią. Zabierając dwudziestu ludzi, resztę rozstawiłem w pozycji na wypadek ogólnego napadu na okręty i pospieszyłem w pomoc zagrożonemu wojsku.

Za przybyciem mojem nie zastałem nieprzyjaciela, który był się cofnął, a stado wyszło obronną ręką z tej utarczki, ze stratą nie wielu tylko owiec, zdeptanych przez spłoszone bydło. Jakem się tego spodziewał, krajowcy zamierzyli je zdobyć podstępnie, i napadając w znacznej sile na zagrodę, zaczęli rzucać kamienie w celu spłoszenia bydła, ażeby przewróciwszy ogrodzenie rozpierzchło się po okolicy; szczęściem było ono dobrze zabezpieczone i uszło grożącemu niebezpieczeństwu. Teraz nie pozostało nam jak zrobić wycieczkę, żeby z naszego sąsiedztwa odstraszyć nieprzyjaciół. Noc była ciemna; wziąłem z sobą zapalone pochodnie i wysyłając rakiety posunąłem się naprzód. W pobliżu wsi wypuściłem znów kilka rakiet; spadając na dachy poszyte trawą, zapaliły kilkanaście chat, rozświecając szeroką przestrzeń. O północy wróciliśmy z wycieczki do okrętów, oczyściwszy nasze pobliże z nieprzyjaciela.

II.

Demonstracje żołnierzy.

O wykonaniu pierwotnego planu naszej wyprawy, nie można już było myśleć; rzecz stała się aż nadto jasna że nie dostaniemy ani jednego tragarza z plemienia Bari; było więc koniecznością obmyślenie innego sposobu wyjścia z trudnego położenia. Z poprzedniej mojej podróży, znałem kierunek, w którym leży okolica Loboré, i jeżeli ludność tamtejsza do dziś dnia była również przyjazna jak lat temu parę, przyszłoby mi z łatwością dostać ludzi do dalszego transportu bagaży. Chodziło tylko, żeby żołnierze mogli wozy zaciągnąć w okolicę nie więcej nad sześćdziesiąt mil odległą. Co do parostatku nie było o czem myśleć; w żaden sposób nie mógłbym zaopatrzyć się w 2000 potrzebnych tragarzy, chciałem więc tylko zapuścić się na południe, ustanowić tamże rząd i legalny handel, w braku możności zrobienia więcej.

Najgłówniejszą teraz rzeczą było przeprawienie stada przez szeroką na 400 łokci angl. i w tem miejscu bardzo bystrą rzekę. Owce przewieziono na okrętach łodziach, a bydło musiało partjami przepływać rzekę w sposób używany przez krajowców, z przewodnikami z przodu i po bokach. Ten manewr zajął nam cztery dni, i kosztował kilka sztuk bydła, z których jedna została porwana przez krokodyla, a trzy schwycone i zatopione przez hipopotamów. Właśnie się tak wydarzyło, że cała kompanja tych potworów znajdowała się w drodze w chwili, gdy moje krowy przepływały rzekę i zostały pochwycone w olbrzymie ich paszcze; było to zdarzenie nieprzewidziane, hipopotamy bowiem nie są mięsożerne.

Krajowcy nie śmieli nas w otwartem polu zaczepiać i spokojnie dozwalali przeganiać stado, poprzestając na nocnych napadach, za co w odwet pułkownik Abdel-Kader puścił z dymem kilka wsi, ostrzegając w ten sposób żeby z nami nie igrali. Angielscy robotnicy byli tymczasem zajęci składaniem wozów, smarowaniem kół i zakładaniem powrozów do wyładowanych pociągów; z których każdy miał być ciągniony przez piętnastu ludzi.

W trakcie tych przygotowań, wieczorem 5. lutego, ujrzałem siedząc przy objedzie na pokładzie okrętu, cały mój zastęp wojska, oprócz pułku „Czterdziestu“ zbliżający się gromadnie i bez oficerów do mojego statku. Domyśliłem się od razu co ta cała demonstracja ma znaczyć, lecz udając że ich wcale nie widzę, zajmowałem się dalej jedzeniem objadu. Nie długo ozwały się głosy z pomiędzy żołnierzy, protestujące przeciw zamierzonemu transportowi bagaży. — „My nie będziemy ciągnąć wozów, to nie zajęcie dla żołnierzy, będziemy się bili i zrobimy wszystko co nam każą, ale nie jesteśmy wielbłądami, żeby nas do pociągów używano“. W jednej chwili pułk „Czterdziestu“ chwycił za broń, i sformowany stanął w linji nad brzegiem rzeki, między moim okrętem a buntowniczą grupą żołnierzy. Kazałem zatrąbić na oficerów i wysłałem jednocześnie po Anglików, żeby stawili się na moim okręcie; kiedy wszyscy już byli zgromadzeni, a okrzyki protestacji nie ustawały, wstałem od stołu i w arabskim języku przemówiłem do wszystkich zgromadzonych, przypominając ich pamięci, jak w każdej ciężkiej chwili zawsze zwycięsko zdołałem ich przeprowadzić. Równocześnie zapewniałem ich, że przestrzeń do Loboré nie jest tak wielka i żebyśmy tylko mogli się tam dostać, a znajdziemy przyjaznych i chętnych mieszkańców, którzy z pewnością udzielą nam swej pomocy. Okrzyki: — „Nie ma dobrych murzynów, wszyscy są podstępni!“ — przerwały na chwilę moją przemowę. Znałem z gruntu Afrykanów i wiedziałem, że tylko razem z ich głową można przeciąć tok raz powziętej myśli. Nie byłem tyle nierozsądny aby uparcie płynąć przeciw wodzie, i kiedy z drugiej strony dały się słyszeć głosy z szeregów „Czterdziestu“: — „My będziemy ciągnęli wozy i robili cokolwiek nam Pasza rozkaże,“ uchwyciłem nadarzającą się sposobność i odwracając się do „Czterdziestu“ powiedziałem: — „Wy zrobicie wszystko co każę, — dobrze, ja teraz zmieniłem mój plan podróży, rozkazuję wam rozebrać wozy jutro o świcie i napowrót wyładować na okręty, a ktokolwiek obawia się zapuszczać ze mną w głąb kraju, może powrócić do Gondokoro. Ja nigdy się nie cofam i razem z moją żoną i porucznikiem Baker przedsięwezmę sam dalszą podróż i nie potrzebuję żołnierzy co nie pamiętają o swoich obowiązkach; możecie zatem wrócić do głównej kwatery!“ — To oświadczenie zostało przerwane głośną wrzawą: — „My nie damy Paszy puszczać się samemu w pośród podstępnych krajowców, pójdziemy gdziekolwiek nas zaprowadzą, jesteśmy przecież żołnierzami sułtana a wy, Sir, jego Paszą.“ — Miałem ich teraz w ręku i stając się panem sytuacji nakazałem milczenie, poczem oficerom dałem następujące rozporządzenie: — „O wschodzie słońca wozy mają być rozebrane; ciężkie ładunki i sekcje parostatku zniesione na okręty, wojsko gotowe do wymarszu.“ Na tem zakończywszy kazałem zatrąbić odwrót, i niedawno buntownicze szeregi, zrobiły na komendę „w prawo zwrot“ i spokojnie powróciły do swojej kwatery.

Umysły zostały uspokojone, rzecz jednak nie była wcale wesoła. Angielscy mechanicy, co byli świadkami tej całej sceny, z oburzeniem patrzyli na tę demonstrację; byli oni prawdziwymi przedstawicielami silnego ducha angielskiej przedsiębiorczości i chcieli się zabierać do przenoszenia ciężarów, jeżeli tylko zechcę ich wziąć z sobą. Musiałem uspokajać ich gorliwość, bo chociaż

*

duch silny, ciało było słabe i żaden z nich nie mógłby odbywać podróży z jakimkolwiek pakunkiem pod tropikalnem niebem Afryki. Zmieniając plany podług okoliczności, musiałem wydać rozporządzenie Anglikom, by z sekcjami parostatku i wszystkiemi przyborami maszyny powrócili do Gondokoro, i tam rozpoczęli budowę śrubowego parostatku o sile 20 koni i 108 beczek ładunku, który bez steru mógłby być użytym w wąskich kanałach Bahr Giraffy. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXXIV.

Gdy niespożyta cierpliwość niebios dotychczas ani deszczem siarczystym, ani piorunami, ani żadnym innym podobnym efektem pirotechnicznym nie zgładziła z tego nędznego naszego padołu rzeczy, które na nim istnieć nie powinne, sprzykrzyło się nakoniec i samej ziemi dźwigać to i owo, wskutek czego wstrzęsła się ona od tamożni radziwiłłowskiej aż do rogatki gródeckiej, a od Bołszowiec aż do tego miejsca, gdzie drogi p. Grossa rozeszły się swojego czasu z drogami p. Polanowskiego, i gdzie wskutek tego, żadnych jeszcze dróg nie ma. Wzdrygnięcie się to i żachnięcie ziemi naszych ojców obaliło wprawdzie parę kominów żydowskich w Sokalu, Bełzie i Krystynopolu, mimo tej klęski niewiernych wszakże zachodzi jeszcze zawsze pytanie, czyli katastrofa wtorkowa była skutkiem protestu dobrych, lub złych genjuszów, strzegących granic Galicji z Lodomerją? Ze stanowiska *Tygodnia* miałbym niejakie powody do przypuszczenia, iż karygodne to zaburzenie spokojności publicznej (§. 65. K. K. itd.) było raczej dziełem ducha † † † złego, który chciał dać uczuć swoją potęgę ostatnim u nas resztkom nie na wskróś piekielnego ustroju i nastroju ducha i materji. Oto np. ja, który w moc dekretu Wys. prezydjum *Gazety Narodowej* jestem czarną plamą na białej szacie niniejszego czasopisma, we wtorek o godzinie czwartej, minucie czterdziestej piątej, siedziałem w cukierni Kosteckiego i ze znaną zatwardziałością sumienia oddawałem się piciu czarnej kawy i czytaniu mojego przybocznego organu (monachijskich *Fliegend-Blätter*) a kamienica Towarzystwa Kredytowego stała jak mur, jak list zastawny, nie ulegający oscylacjom kursu. Jeżeli mię pamięć nie myli, zwierzałem się nawet w tej chwili mojemu sąsiadowi, że Benjamin Franklin był mężem znakomitszym od pana Ag... G... (tj. nie Agenora Gołuchowskiego, ale Agatona Gillera) a ziemia nie zadrżała podemną, ani pod nikim na sto kroków w około. O tejże samej porze wszelako, *Tydzień* („pismo zkądinąd zasługujące na uznanie," *Gaz. Nar.* lib. XIII, cap. VII, v. 14.) w osobie swojego wydawcy i redaktora uczuł na drugiem piętrze gmachu Banku Hipotecznego kołysanie się murów tak silne, jak gdyby cały ten instytut chwiał się na swoich miljonowych podstawach, i jak gdyby już bliskim był ów ostatni *krach*, który pochłonie zarówno akcje, jak i książki do modlitwy, jak i nakoniec, choć nie bez kurczów żołądka, dzieła lwowskich epigonów Juliusza i Zygmunta. Otóż widocznie szatan usiłował zburzyć i zniszczyć to, co mu się mniej podobało, a oszczędzał niewątpliwych swoich wasalów.

Tyle mam do nadmienienia w sprawie trzęsienia ziemi, zapowiedziawszy już przeszłego tygodnia, że dla wybrnięcia z toni pozytywizmu, studjować nadal będę każdą kwestję z punktu widzenia teologicznego. Brak mi zapewne jeszcze wprawy w tym kierunku, ale nie brak dobrych chęci.

* * *

W zachodniej stolicy kraju dały się także uczuć rozmaite ruchy podziemne, znaczniejsze od galicyjsko-lodomeryjskich. Smok z jamy pod Wawelem, snać odurzony tylko a nie zabity przez Krakusa, począł filozofować o historji polskiej i rezonować tak głośno, że wszystkie kosci poruszyły się w grobach nad jego siedzibą. Wywołało to pospolite ruszenie krytyków w całym kraju, są atoli głosy, że najlepiej byłoby wydelegować do załatwienia tej kwestji pana wójta z Woli Justowskiej z tą długą laską, którą d ierży w ręku według portretu Andrzeja Grabowskiego. U nas na Rusi mówią, że *„hromada wełykij czełowik"*, nie podobna tedy, by gromada pozwalała takiemu jednemu płazowi naigrawać się ze swojej zbiorowej godności. Co gromada, to nie Akademja, a co wójt, to nie Stańczyk, mości dobrodzieju.

Krakowska zresztą gromada nietylko nie trzyma się systemu Akademji, ale nawet posunęła się trochę zadaleko w kierunku wprost przeciwnym. Akademja przybrała sobie do ozdoby prof. Walewskiego, z własnej i nieprzymuszonej woli, a rajcy miasta unieważnili wybór p. Heurteux, który sam jeden pobyt w ich gronie mógłby uczynić apetytnym. Na wszelki wypadek, p. Heurteux nie truje ani starych ani młodych taką strawą, jaką warzy zacny profesor i akademik, równie jak nie fałszuje win, podczas gdy dr. Walewski fałszuje historję. Co się tyczy p. Feintucha, którego wybór także unieważniono, to w istocie trudno pojąć, cobyśmy poczęli w kraju bez jego *Cracow-and-Lemberg-Buquet*, a z takiemi kwiatami wiedzy historjozoficznej? Gdyby to nam cudzoziemcom galicyjskim wolno było wyrazić jaką opinię o autonomji zawiślańskiej, powiedzielibyśmy że krakowska rada miejska powinnaby trochę zapatrzyć się na Akademję, a Akademja powinnaby bardzo mocno zapatrzyć się na radę miejską. Ale co nam do tego?

* * *

Oprócz nadzwyczajnych wypadków elementarnych i zwyczajnego braku różnych innych elementarnych rzeczy, zaznaczyć tu jeszcze należy parę odkryć i wynalazków, zrobionych w tym tygodniu. Na Wysokim Zamku znaleziono medal ołowiany weneckiego doży Jędrzeja Dandolo, z 14 stulecia, a pod Wysokim Zamkiem, w teatrze odkryto złoty talent dramatyczny w pannie Dysterlow, z 19. stulecia. Tamto odkrycie zrobiono łopatą, to zaś, włożone być musi dopiero łopatą w głowy niesfornej publiki, która przyjmuje z niedowierzaniem recenzje *Gazety Narodowej*. Bardzo pięknie ze strony p. Dysterlow, że ma talent, chociaż nie posiada wymowy, a bardzo niepięknie ze strony doży, że kazał bić ołowiane medale, chociaż Wenecjanie posiadali złoto. Znaleziono nakoniec w asfalcie przy ulicy Kopernika but juchtowy pewnego kronikarza, który pochwalił doskonałość wylanego tym materjałem chodnika, i sam uwierzył przez pomyłkę w to, co napisał. Inni ludzie, ostrożniejsi, chodzą środkiem ulicy i tym sposobem unikają szkody, wyjąwszy, gdy im spadnie na głowę kilka cegieł z kamienicy p. Baurowicza albo który z robotników.

Nie wiem, czy do rubryki odkryć, czy wynalazków zapisać to, że ostatni numer *Szczutka* uległ konfiskacie? Mówi się: O d k r y t o Amerykę, a w y n a l e z i o n o proch. Otóż gdy przy tej sposobności niewątpliwie — nic nie wynaleziono, więc musiało to być jakieś odkrycie. Straszna rzecz, jaki teraz świat przemyślny! Gotów jeszcze i nasz magistrát odkryć sposób zabezpieczenia przechodniów od nagłej śmierci na chodnikach, za pomocą ogólnego zakazu wychodzenia z domu w dni robocze. To byłoby niewątpliwie koroną swobód obywatelskich i ładu publicznego i do tego niezawodnie przyjść musi, jeżeli się nie zechce gnębić biednych właścicieli domów barbarzyńskiemi przepisami co do urządzania rusztowań, i innemi komunistycznemi szykanami tego rodzaju.

Jan Lam.

Rozwój w przyrodzie i w dziejach

przez

LUDWIKA WIERZEJSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Hinrichs porównywując prawidła Keplera z teorją obrotu pierwotnego, dowiódł że formułka Titiusa jest wynikiem stopniowego skupiania się mgławicy słonecznej,. które to skupianie się było proporcjonalne do czasu w którym się odbywało, tak iż liczby oznaczające odległości planet oznaczają także wielkość czasu dzielącego ich utworzenie się. Małe różnice zachodzące między liczbami wyprowadzonemi z formułki Titiusa a rzeczywistemi odległościami planet wynikły z oporu eteru i wpływów perturbacyjnych jakie planety wzajemnie na siebie wywierają. Odległości satelitów w systematach drugorzędnych podlegają podobnej prawidłowości.

Hinrichs doszedł do bardzo ważnego wniosku, to jest, że prawidło stopniowego skupiania się jest w ścisłym związku z trzeciem prawidłem Keplera, podług którego kwadraty czasów obiegu stoją do siebie w takim stosunku jak trzecie potęgi średnich odległości. Trzecie prawidło Keplera zaś jest skutkiem siły ciążenia powszechnego, działającej w prostym stosunku masy, a odwrotnym kwadratowym odległości. Z tego więc okazuje się, że utworzenie się systemu słonecznego i systemów innych gwiazd stałych, w których także spostrzeżono obroty według prawideł Keplera, jest wynikiem siły powszechnego ciążenia.

Widzimy więc, że w pierwszym okresie tworzenia się przyrody działają wyłącznie siły przyrodne, mianowicie siła ciążenia i siła odśrodkowa.

Gdy po wytworzeniu się kuli ziemskiej z pierścienia wydzielonego przez słońce i po wydzieleniu się z tej kuli pierścienia niższorzędnego, z którego utworzył się księżyc, ciepłota na powierzchni ziemi wskutek promienienia ciepła do tego stopnia się zniżyła, że ta powierzchnia stężała i utworzyła twardą skorupę obejmującą żarząco-płynne jądro, i połączenia chemiczne gromad złożonych odbywać się mogły, pojawiły się wskutek działań fizykalnych pierwsze istoty ustrojowe (organiczne) na ziemi. Były to istoty najniższego gatunku tak zwane m o r e n y, zupełnie pojedyncze drobne bryłki śluzowe bez wszelkiej wewnętrznej organizacji, nie mające nawet stałej postaci. Dopiero w ciągu późniejszego czasu, którego długość tylko miljonami lat oznaczyć się da, pojawiały się stopniowo coraz doskonalsze

rośliny i zwierzęta i okazywała się coraz większa rozmaitość postaci istot ustrojowych. Dowodzi to geologja. I tak w najdawniejszych formacjach geologicznych znajdują się skamieniałości zwierząt niekręgowych; później znajdują się już szczątki kręgowców najniższej klasy, t. j. ryb. W drugorzędnym okresie geologicznym okazują się oprócz tego także skamieniałości wyższych klas kręgowców, jako to: płazów, ptaków i ssaków. Z klasy ssaków jednak tylko niższe rzędy torbaczów. Wyższe rzędy ssaków okazują się dopiero w trzeciorzędnym okresie, w którym także pierwsze ślady życia ludzkiego się znajdują.

Lamark w dziele swojem: „Philosophie zoologique" wydanem w r. 1809 pierwszy wypowiedział twierdzenie, że pojawianie się stopniowe coraz to doskonalszych zwierząt i roślin nie jest skutkiem osobnych czynów stwórczych, lecz że gatunki przez działanie sił wyłącznie przyrodnych, i wskutek przyczyn mechanicznie i bezwiednie działających jedne z drugich się wytworzyły; nareszcie, że wszystkie istoty organiczne, które kiedykolwiek żyły na ziemi, stoją do siebie w stosunku pokrewieństwa rodowego.

Twierdzenie Lamarka udowodnionem zostało 50 lat później przez Karola Darwina, który oprócz tego wykazał szczegółowo czynniki sprawiające to przetwarzanie się gatunków.

Temi czynnikami są: bezpośredni wpływ zewnętrznych warunków życia, wybór przyrodny i płciowy, walka o życie, zmienność i dziedziczność.

Huxlej wykazał później, że ród ludzki pod względem powstania swego nie stanowi wyjątku od innych zwierząt i udowadniał za pomocą anatomji porównawczej, że ród ludzki jest tylko rodzajem należącym do rzędu małp. Häckel zaś skreślił cały rodowód istot ustrojowych.

Wspomnieliśmy jakie są czynniki sprawiające przetwarzanie się gatunków; pozostaje nam jeszcze takowe szczegółowo opisać. Bezpośredni wpływ wewnętrznych warunków życia polega na działaniu klimatu, stanu atmosfery, plastycznej postaci powierzchni ziemi, pożywienia itd. Dziedziczność sprawia, że właściwości istot ustrojowych tak fizyczne jak psychiczne przechodzą na młodsze pokolenia. Wybór przyrodny sprawia, że osobniki, które wskutek bezpośrednich wpływów fizycznych lub wskutek ćwiczenia narządów, w swem ustroju fizycznym lub psychicznym jakąś choćby bardzo małą korzystną zmianą się odznaczyły, łatwiej się przy życiu utrzymać, rozmnożyć i tę swą korzystną zmianę na swe potomstwo przenieść mogą. Przeciwnie zaś osobniki w ustroju swym choćby w małym tylko stopniu upośledzone, wystawione są na niebezpieczeństwo zniszczenia. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Filozofja dziejów polskich i metoda ich badania przez Antoniego Walewskiego, członka czynnego Akademji umiejętności. Kraków 1875*).

Pan Antoni Walewski, zostawszy członkiem czynnym Akademji umiejętności, stał się ostatniemi czasy bardzo czynnym, jakby na dowód, że nie napróżno piastuje przyznaną sobie godność. W krótkim przeciągu czasu wydał kilka dzieł historycznej treści, z których ostatniem jest: Filozofja dziejów polskich.

Tytuł to dość pompatyczny — nie prawdaż! Ale, cóż po tytule, gdy nie ma nic w szkatule? I owszem mylę się — jest, nawet bardzo wiele— ale bynajmniej nie tego, czego czytelnik mógł się spodziewać. Zamiast dziejów polskich, znajdujemy w książce p. Walewskiego najbezecniejsze spotwarzanie naszej przeszłości, sfałszowanie naszych dziejów; zamiast filozofji, zdania i poglądy, które są negacją nie tylko filozofji, ale nawet zdrowego sensu; zamiast patrjotyzmu, przywiązania do narodu, ślepe uwielbienie dla moskiewskiego rządu i korzenie się przed faktem dokonanym!

Czytając dzieło członka czynnego najwyższej naukowej instytucji polskiej, możnaby myśleć, że jest ono napisanem przez jakiego członka czynnego śledczej komisji moskiewskiej z czasów powstania z 1863 r.; jakkolwiek musimy wyznać, że nawet w sprawozdaniach owych komisyj o wypadkach rzeczonego powstania, znajdujemy więcej bezstronności i pewnego poczucia sprawiedliwości, niż w dziele p. Walewskiego, który członkiem śledczej komisji, o ile wiemy, nie był, a jest obecnie jednym z tych, co mają reprezentować przed światem wiedzę polską.

Gdyby nie to, że dzieło szanownego członka czynnego Akademji umiejętności nie pozwala podejrzywać jego autora o zbytek dowcipu, możnaby myśleć, że przez przywiązanie do moskiewskiego rządu postanowił skompromitować przed światem Akademję krakowską, zdyskredytować ją w oczach narodu, który tyle w niej pokłada nadziei. Podejrzywać go wszakże o to nie można— nie dla tego, by moralnie nie kwalifikował się do takiego czynu, ale dla tego, że jest zbyt... niedowcipny.

Nie myślimy wchodzić tu w szczegółowy rozbiór dzieła p. Walewskiego; byłoby to zbyt wiele robić mu honoru, a z drugiej strony nadużywać cierpliwości czytelników, powiemy tylko, że p. Walewski uważa siebie za wielkiego dyplomatę. Dobre o sobie rozumienie stanowi połowę szczęścia — jak mówi nasze przysłowie. Zrobimy tylko uwagę, że główną regułą dyplomacji jest: dobrze wprzód rozważyć i zastanowić się nad tem, co mamy powiedzieć i jak mamy sobie postąpić. — Jakiego zaś rodzaju jest dyplomacja p. Walewskiego, najlepiej wyjaśni następująca cytata: „Duszą narodu polskiego była i jest lojalność, a bez niej żyć nie mógł i nie może." (str. 292). „Tracił naród polski wiele przez lojalność dla W. Księcia warszawskiego, ale nielojalnym zostać nie chciał. Jego następcę, Aleksandra I. wielbił, jego stratę opłakiwał rzewnie. Niemniej rycerskimi legitymistami byli, którzy ochoczo w obronie króla umierali w smutnej nocy 29. listopada 1830. Sam cesarz Mikołaj I., już rozgniewany, uznał polską lojalność, wystawiając jej pomnik w bliskości cytadeli, zapewne na oznakę, że lojalność jest najsilniejszą twierdzą królów." (291).

Uważa on siebie także za głębokiego filozofa, gdy o tem sam tytuł jego dzieła świadczy. Następujące cytaty dadzą nam poznać głębokość myślenia i trafność jego poglądów. „Tylko powrót do rzeczpospolitej chrześcijańskiej, do jej zasad i powag, przywrócenie rządu naczelnego papiesko-cesarskiego, zatem tylko rzetelna zgoda dwóch cesarzów (austryjackiego i moskiewskiego) z papieżem, z władzą, która nigdy od zasad restauracji nie odstąpiła, z rewolucją walczyć nie przestała, mogłyby rewolucję uniwersalną zgubić radykalnie." (Wstęp. XXV, XXVI). „Już przed wojną (1831) nie mogąc przekonać upartego gminu miejskiego, wiedział naród, że wstąpił do grobu... mówię, wstąpił do grobu, bo go król (Mikołaj) odepchnął; a czemże naród bez króla, jaka korporacja zdoła go zastąpić i na jak długo?" (str. 193).

Potrzebaż dowodzić jeszcze, że nie mniejsze ma o sobie rozumienie, jako historyk, w obec którego Naruszewicz i Lelewel są nieuki? (str. 9). Oto są próbki jego uczoności, czy sumienności historycznej: „Najgorzej sobie postąpił naród polski, że przez niewdzięczność dla imperatorowej (Katarzyny II.), która go za sprawą Czartoryskich i Stanisława Augusta z letargu obudziła, i do życia przywiodła, uwierzył konfederatom barskim"... (str. 166) „Jakże skuteczniej, niżeli polacy z księstwa warszawskiego opierały się zamiarom imperatora (Aleksandra I.) wskrzeszenia rozległego królestwa polskiego obce mocarstwa." (str. 176).

Dodajmy na zakończenie, że p. Walewski jest zaciętym nieprzyjacielem opinji publicznej. Temu się wcale dziwić nie można. Jestto fakt znany z psychjatrji, że bywają dziwne anomalje umysłu ludzkiego znane pod imieniem idyosynkrazji. Są naprzykład ludzie, którzy na wzmiankę o sprawiedliwości publicznej, doznają mimowolnego dreszczu i tracą humor, którego nic im wprzód zepsuć nie mogło.

W. K.

Listy z Niemiec.

(Ciąg dalszy).

Berlin 5. Sierpnia 1875.

Jak powiedziałem, letnie skwary osłabiły również i filozoficzne instynkta Niemców. Ostatnie miesiące przyniosły zaledwie kilka „nowych pojmowań Kanta" i.... „świata". To też filozofja cieszy się, że ją niebo na chwilę mniejszem potomstwem błogosławi. Ucieche tę przerwą rozumie się z nadejściem jesieni brzemienni wielkiemi ideami myśliciele, którzy przez lato nadymają powoli swe filozoficzne worki wiatrem. Nie dla umysłowej korzyści ale dla bardzo potrzebnej dla zdrowia rozrywki, radzę wam odczytać jakie nowo sfabrykowane arcydzieło kantowskiego potomka. Nie znam lektury humorystyczniejszej. Żaden Dickens nie malował komiczniej zdemontowanych umysłów, jak one się same w filozofji niemieckiej malują. Wyobraźcie sobie człowieka, który koniecznie postanowił stworzyć nowy systemat i nową szkołę. Ponieważ zaś dla uskutecznienia podobnego przedsięwzięcia dość tylko w rozumowaniu przestrzegać, ażeby każde twierdzenie miało *Allgemeinheit* i *Nothwendigkeit* i wynalezione było a priori, więc przyborów naukowych nie potrzeba. Zwraca się więc filozof niemiecki w siebie i jak nurek z głębi swego ducha wydobywa metafizyczne perły. Ów duch ma tę szczególną własność, że ażeby w nim owe klejnoty znaleść, trzeba go naprzód oczyścić z wszelkiej realnej treści, z najdrobniejszego eksperymentalnego pojęcia i dopiero, gdy już się stanie zupełnie przeźroczysty, tj. mówiąc niemiecką terminologią, gdy nic z niego nie zostanie jak tylko „forma", wtedy można do nieskończoności zeń łowić najwyższe teoretyczne i praktyczne przykazania, z których każde posiada ten nieoceniony przymiot, że wychodzi na świat z pretensją do „ogólności i konieczności". To się nazywa badanie „a priori." Otóż niemiecki filozof tak bada swój duch bezdenny, a ile razy weń sięgnie, wieczne jakieś i niezmienne prawo wydobędzie. Pozostaje tylko jedna kwestja do załatwienia, mianowicie rachunek z poprzednikami. Ale i z temi wyjście bardzo łatwe. Przyjąwszy bowiem na siebie rolę mesjasza, poprzednikom wyznacza się role proroków. Można umrzeć ze śmiechu, słuchając niemieckiego filozofa, gdy opowiada, jak jego idea przeczuwana w przeszłości wychylała się z rozmaitych systematów, aż dopiero on ją wyraźnie od-

słonił. Należy się spodziewać, że jak tylko upały osłabną, będziemy mieli codzień takie przez dwadzieścia kilka wieków zapowiadane odsłonięcia, po których mesjasze, odkupiwszy myśl ludzką, oddadzą swe Testamenty na posiłek książkowym szczurom.

Tęż samą wróżbę wywnioskowaćby dla nich można z wyroków ich własnego dziejopisarstwa filozofji. Niech się tylko po wyrocznię udadzą do *Geschichte des Materialismus* (Iserlohn 1873—5) Langego. Wspominam o tem dziele nie tylko jako o źródle pouczających rad dla filozofującej niemieckiej rzeszy, ale zarazem jako o książce zasługującej na uwagę mych czytelników. Jestto już drugie jej wydanie, gdyż pierwsze literalnie rozchwytano. W Niemczech, Anglji i Francji obudziła ona nadzwyczajny interes, gdy tymczasem w polskiem piśmiennictwie przeszła bez wyraźniejszego śladu. Przypisać to należy naszym uprzedzeniom do pewnych wyrazów, troskliwie piętnowanych na ambonie i w prasie klątwami, których bezrozum domaga się dla nich niepoczytalności. Takim właśnie szczutym na wszystkie strony wyrazem jest *lapis offensionis*, kolec w prawowiernem oku XIX stulecia — materjalizm. Gdzie go klerykalny węch nie wytropi i czego mu nie przypisze — trudno byłoby zliczyć. A jednakże jeśli materjalizmem nazwiemy doktrynę przyjmującą w świecie tylko dwa pierwiastki: materję i siłę, to wyznać muszę, iż nie wiele jest kierunków filozoficznych, które by miały równie małą liczbę przedstawicieli. Lange rozszerza pojęcie materjalizmu do tych granic, jakie mu popularne prześladowania nakreśliły, i dla tego gromadzi w swej historji wszystkie najgenjalniejsze umysły. Umysły te wszakże nie podchodzą pod wyżej wskazaną materjalistyczną miarę. Zdanie moje poprę bardze wymownym przykładem. Według kursującej opinji, materjalista jest ateuszem. Jeśli to ma być jego rzeczywiście specyficzną cechą, to pytam gdzie są owe liczne zastępy materjalistów? Chyba w starożytności jest ich więcej — bo w nowszych czasach na palcach można wszystkich wyliczyć. Helvetius, Hume, Hobbes, Locke itd. uchodzą za materjalistów, gdy tymczasem wszyscy wierzyli w Boga. Za apostoła nowoczesnego materjalizmu uważanym bywa de la Mettrie a jednak w najbardziej wyklinanem dziełku *L'homme machine* przyznaje się do wiary w Boga. Przykład ten wystarcza do objaśnienia jak rzec można, prosta, małomiasteczkowa plotka staje się w przekonaniu mas naukową opinją. Gdyby zeloci, którzy zrywają płuca na wrzaski przeciwko materjalizmowi, zechcieli choć przybliżenie poznać nieprzyjaciela, przekonaliby się, że on wcale inaczej wygląda i nie tam się kryje, gdzie oni go wskazują. To usunęłoby mnóstwo ciągłych nieporozumień, na których wiedza tylko traci, gdyż ogół widząc wszystkie teorje spakowane do jednej gromady i obłożone klątwą nabiera zupełnie mylnych pojęć i błędy jednych kierunków myśli przenosi na drugie. Czysty, prawdziwy materjalizm jest do przyjęcia niemożliwy, ale nie dla tego, że narusza nasze wierzenia, gdyż prawda dbać o to nie powinna, lecz dla tego że znosząc jeden katechizm stawia drugi, który również wspiera się na czysto dogmatycznych podstawach i nie może na swą obronę przytoczyć dowodów. Walcząc przeciwko wierze narzuca wiarę, zaprzeczając słuszności genezy biblijnej, podaje znowu hypotetyczną własną — a to mu odbiera naukową wartość. To też umysły wyznające tylko prawdę ścisłą, często odwracały się od niego z pewnym wstrętem, gdyż pod sztandarem nauki pragnie im narzucać dogmata, które nie mają ani zasługi, ani nowości, ani prawdy. Istotni jego kapłani (np. Vogt) cierpią na chroniczną i ciężką słabość, którąbym naukową niecierpliwością nazwał. Nie czekają, aż bezstronne badanie faktów dostarczy podstaw ogólnym wnioskom, lecz pospiesznie z kilku odkryć wywodzą najgłębiej skryte zagadki. Każdy chce być bodaj na małą skalę Cuvierem i z jakiegoś zęba odgadywać ustrój całości. Błąd ten podsycają namiętności stronnicze. Kto badał w historji teorje materjalistycznemi zwane, ten niewątpliwie spostrzegł, że prawie wszystkie przedwczesne i zbyt ryzykowne w nich konkluzje wymykały się swym twórcom z pod pióra, wskutek natężonego oporu przeciw opinjom teologicznym. De la Mettrie lub Hollbach dla tego tylko idą nieraz zbyt daleko, że zapał walki nie pozwala im dostrzedz granicy, na której zatrzymać się powinni. Najzawilsze i przy obecnym stanie wiedzy niemożliwe do rozstrzygnięcia pytania załatwiają przypuszczeniami, które im się wydają bardzo naturalne, w gruncie jednak są na niczem nieoparte i co ważniejsze niedostateczne. Takie to zbyt śmiałe skoki materjalizmu, bez zachęty ortodoksji sama nauka odrzuca i w tej postaci materjalizmu nie uznaje. Ale protestu swego nie rozciąga na ścisłe wywody myśli, chociażby te jak kopernikowskie odkrycie z całą ludzką wiedzą i z tysiącami lat tradycji w sprzeczności stały. Jak wspomniałem, Lange objął w swej *Historji materjalizmu* nie tylko materjalistów par excellence, ale wszystkich swobodniejszych myślicieli i dla tego dzieło jego przedstawia rozwój filozofji w jej najswobodniejszych i najwspanialszych objawach. To mu nadaje szczególne znaczenie.

Książką czysto materjalistycznej krwi jest naprzykład przed kilku dniami wydana praca głośnego Büchnera: *Physiologische Bilder*. W niej owa doktryna występuje tak żadnemi wątpliwościami nie zamącona, jak mahometalizm w Koranie. Chociaż znowu z drugiej strony przyznać trzeba, że mieści się w niej mnóstwo ścisłych i głębokich spostrzeżeń. Büchner w ogólności należy do koryfeuszów swej sekty. W teorjach swoich nie spekuluje paradoksami na krzykliwy rozgłos, lecz stara się o gruntowność. Naturalnie bardzo często wzlatuje fantazją w sfery tajemnic udając, że mu tak bystrych skrzydeł wiedza użyczyła, ale u niego ten pierworodny grzech materjalizmu daje się prawie zawsze wybaczyć. Książka, o której wspomniałem, jest dalszym ciągiem, to jest drugim tomem dzieła dawniej rozpoczętego a traktuje o nerwach i mózgu. Jak łatwo odgadnąć, autor kreśli fizjologiczne procesa nerwowego ustroju służące za podstawę objawom psychicznym.

(D. n.)

TEATR.

(„Nietoperze," komedja w 4 aktach przez Edwarda Lubowskiego. — „Nie łów ryb przed niewodem," bluetka w 1 akcie z włoskiego Giacosy. — „Przejście Wenery" farsa Mailhac'a i Halevy'ego. — „Baron Szomer daje bal," operetka Offenbacha.)

Po przerwie kilkutygodniowej, nowy sezon rozpoczęto na scenie naszej przedstawieniem w piątek (13go) oryginalnej komedji E. Lubowskiego „Nietoperze." Sztuka ta ogólny obudziła interes; anatomizują ją ostrym skalpelem surowi sędziowie i znajdują wiele stron ujemnych, lecz większość stanowczo na korzyść sztuki się oświadcza. Pozwolilibyśmy sobie odwołać się do przysłowia: *nemo propheta in patria*, gdyby nam wypadło stanąć w szranki z owymi surowymi sędziami. Gdyby „Nietoperzy" napisał był Sardou, uznano by tę sztukę niezawodnie za bardzo dobrą, że atoli polskie pióro zdołało ująć w wierną fotografję (chociaż nie bez przymieszki karykatury w ratuszu) obrazek z życia towarzyskiego, starano się znaleść koniecznie tyle wad w sztuce, ile w niej scen, sytuacyj, typów. A jednak sceniczność tej komedji, to główna jej zaleta. Autor rozumie dokładnie wymogi sceny, umie jak najzręczniej grupować sytuacje i wysnuwać je tak naturalnie jedne z drugiej, że widz nie znajduje w całej sztuce nic zbytecznego, i zostaje w ciągłem zajęciu się akcją, chociaż w komedji nie ma żadnej prawie intrygi, żadnych sztucznie namotanych efektów. Efektowność tej komedji polega w jej naturalności. Typy zręcznie zdjęte z natury, a wiele z nich (jak Nestrowicz, Żmijski) w zupełnie nowem świetle autor przedstawia, jakkolwiek postacie same nie zupełnie nowe; tę to fotografję znanych nam osób, autor odbił w rambrandtowskiem świetle. Ta zręczność rzucania nowego światła na postacie nie nowe, to druga sztuki zaleta. Dodajmy do tego żywość akcji i dykcji, werwę, dokładną wymierność w architektonice, ścisłość w konturach i cieniowaniu wprowadzonych postaci, posuniętą do niezwykłej skrupulatności, a przyznać musimy, że komedja „Nietoperze," napisana z wielkim talentem, i że wybitne miejsce w repertoarzu naszym łatwo sobie zdobędzie. Gra artystów była wyborną; takiego znakomitego *ensemble* dawno już nie widzieliśmy na scenie naszej.

„Nie łów ryb przed niewodem" to nie komedja, ale bardzo piękny djalog, toczący się między mężczyzną a kobietą, pełen moralnych sentencji, kończący się bardzo szczęśliwie, bo pobraniem się rozmawiających; ale równocześnie tak dalece zbywa mu na wszelkiej akcji, że tylko bardzo wzorowa gra artystów może rzecz ocalić. Uczynili to też pani Nowakowska i p. Woleński.

Serdecznie uśmieliśmy się na farsie pp. Meilhac i Halevy, „Przejście Wenery." Komicznych sytuacji bez liku, życia na scenie pełno, a w dodatku jest także typowa postać profesora, zakochanego w „astronomji transcedentalnej," który rozpacza, że musi wykładać przed pustemi ławkami, gdyż „zamiłowanie do nauk poważnych widocznie upada." Chociaż nie ma ani jednej kobiety, widz słucha farsy z wielkiem zajęciem. P. Fiszer grał profesora z wielkiem powodzeniem.

Stara operetka Offenbacha przedstawiona po raz pierwszy pod zmienionym napisem, nie wypadła dowcipnie. Gdyby śpiewacy byli lepsi, komiczny tercet byłby w rzeczy samej wypadł komicznie, ale przy tych siłach wypadł niefortunnie. P. Stanisław Dobrzański nie był także w swojej roli. Takich spanoszonych żydów myśmy nie widzieli. Oni inaczej wyglądają.

Poprzestajemy dziś na tych kilku słowach, oczekując niecierpliwie przedstawienia nowych utworów, których aż 20 miał p. St. Dobrzański przywieść z Warszawy.

J. R.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Urwane akordy poezje przez St. Gr. Na dochód „Gwiazdy" we Lwowie. Nakładem M. Darowskiego. 1875.

„Urwane akordy" są pojawem charakterystycznym i pięknym. Jest to mały zbiorek poezyj, po większej części już drukowanych w pismach naszych i poznańskich, w części zaś nieznanych jeszcze zupełnie. W działalności twórczej p. St. Gr. stanowią one nową fazę, odsłaniają nową stronę jego talentu, zaiste w sposób wielce zaszczytny dla młodego poety. Po mglistych choć szlachetnych konturach „Idealisty", po miękkiej i cichutkiej nucie „Marzeń i piosnek", po nierównym wreszcie nastroju ostatniego większego zbioru utworów p. St. Gr. w „Urwanych akordach" natrafiamy na wyraziste, ostro cięte kształty, silne, niekiedy potężne tony, a wreszcie jak w wierszu „do Polek" na harmonije i wysoko utrzymane natchnienie w całości. Najgłówniejszą jednakże pięknością i ogólną cechą zebranych tu ustępów, jest jakaś dzielność i hardość młodzieńcza, niekiedy aż zawadjacko zacięta; dumne i wyzywające prawie apeotezowanie ideałów i uczuć, które w przeklętych ustach reakcji miano „patrjotycznych komunałów" uzyskały. Książka ta napełniona jest imieniem Polski i miłością dla niej, — ale nie marzącą i bolejącą, jeno trzeźwą i energiczną, szorstką i szyderczą względem niedołęgów, bryzgającą słowem wzgardy i obelgi w twarz „zjadaczom chleba". Poeta jużto godzi ciętą i w rdzeń złego wymierzoną satyrą, jużto rozwija swoje polityczne i społeczne poglądy, już wreszcie gorącym porywem lirycznym stara się rozbudzić uczucia narodowe w ochłodzonych sercach. Kwiatem najprzedniejszym tej wiązanki, jest wiersz „do Polek" napisany krojem dytyrambicznym i chwilami nacechowany prawdziwą potęgą ekspresji. Tyle o stronie dodatniej. Co do ujemnej, utwory te prawie wszystkie chorują na ogólną wadę, która się urodziła z przymiotu. Jasność i ścisłość wyrażenia, przechodzi w nich często w suchość prozaiczną prawie, a w miejscach rozumowanych autor rozprawia nieraz jak broszura polityczna — syllogizmem — miasto obrazu, logiką prozy — nie poezji. Tendencja jest — ale nie próżno powiedział gdzieś stary Gottszal, że choć każdy dobry utwór powinien mieć w sobie dążenie moralne, tak jak każdy przyzwoity człowiek chustkę od nosa w kieszeni — nie idzie jednak zatem, ażeby jedno i drugie miało wisieć na zewnątrz z tyłu. Oto wszystko co czas i miejsce tutaj pozwalają nam wspomnieć o tej nowej pracy p. St. Gr., — którą gorąco uwadze publicznej polecamy.

W. O.

— Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie kochanku). Z papierów po Glince spisał I. Kraszewski. Warszawa 1875. Gebethner i Wolff. 12. str. 195.

Oryginalna to była postać tego, jak starzy Polacy nazywali „panosza" Panie kochanku, który utrzymywał

na swoim koszcie 6 tysięcy nadwornego wojska, całą Litwą trząsł, ogromne bogactwa posiadał i nie napisawszy sam ani jednego wiersza, całą literaturę tradycyjną życiem swem stworzył. Pamięć księcia Karola odżywił Henryk Rzewuski w „Pamiętnikach Soplicy“ a w ostatnich latach Kraszewski coraz częściej nam ją przypomina, bądź w utworach dramatycznych, bądź w opowiadaniach jak powyższe. Utwór ten do najpiękniejszych tego pisarza należy. Jeżeli Rzewuski wybornie nam księcia Pana kochanku scharakteryzował w chwilach pohulanki sejmikowej, J. I. Kraszewski przedstawia go w szerszym daleko obrazie, w ostatnich dniach życia, gdy ślepotą dotknięty, złamany choroba, spieszy z goraczkową niecierpliwością do ulubionego zamku w Biały, ażeby zasnąć na wieki. Obok wizerunku księcia Karola, widać tu postacie starego Wojzbuna i pięknej jego córki Felicji, która przy nieporównanych wdziękach, hart duszy ojca przechowała i w całym majestacie godności niewiasty polskiej jaśnieje. Oryginalną jest figura burgrabiego zamku bialskiego, Napiórkiewicza, z którym Glinka, autor tego pamiętnika, zwidza cały gmach i poznaje mało znane dzieje rodu Radziwiłłów. Wszystko w tej opowieści oddycha życiem i prawdą, a czytelnik przeniesiony w tamte czasy i miejsca, widzi je dokładnie, słyszy tę mowę zmarłych, czuje gorące słowa gasnącego „Panie kochanku“ i nieraz z nim razem boleje. Książka niniejsza pozostanie bogatym materjałem wyczerpującej monografji tej najpopularniejszej osobistości XVIII stulecia.

Angielska.

— „Signa“ A. Story, by Ouida, 3 Vols. London, Chapman et Hall. 1875.

Nie wiemy, czy krew francuska płynie w żyłach autorki, ale to pewne, że cały romans pani Ouidy jest napisany po francusku, za co krytycy angielscy niesłychanie się gniewają. Autorka lubi namiętności, a namiętności nie są popularne w Anglji. Według pojęć tam panujących, uczucie powinno mieć tyle a tyle stopni, lecz jeśli przekroczy miarę ogólnie przyjętą, staje się szoking a nawet grzechem śmiertelnym. Według krytyków mieszkających po tamtej stronie kanału, autorka za to głównie na naganę zasługuje, że ogólnemu współczuciu poleca człowieka, wprawdzie szlachetnie myślącego, który jednak w pewnym kierunku jest grzesznie słabym. Właśnie te dobre skłonności oburzają krytyków angielskich, którzy chcą, aby człowiek niemi wyposażony, nie miał żadnej słabostki, lecz był doskonałością. Romans powyższy jest napisany z prawdziwym talentem, dużo w nim serca i prawdy wiele. Główny bohater, dziecię niewiadomego ojca, wychowany na wsi i uczący się kochać piękno w naturze, wyrabia w sobie jednostronną miłość do muzyki, która go wiedzie do sławy, ale równocześnie i gubi. Fatalizmem, wtrącającym go w przepaść, jest kobieta przecudnej urody, ale na wskróś zepsuta. Bohater, tracąc wiarę w swój ideał — odbiera sobie życie! Oto za co się gniewają krytycy angielscy. Ale już ta sama okoliczność, że się gniewają, wymownie świadczy, iż romans jest napisany z niepospolitym talentem, którego milczeniem nie można było pominąć.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— „Wiestnik Jewropy,“ pismo tomowe, wychodzące w Petersburgu, umieszcza w zeszycie lipcowym bardzo pochlebną ocenę talentu Jana Lama, którego stawia na równi z Gogolem, co u Moskali jest najwyższą pochwałą. W tym samym zeszycie podało ono także w przekładzie prawie całą powieść Jana Lama: „Koroniarz w Galicji.“

— Poglądy nasze na talent Wilhelma Leopolskiego, umieszczone niedawno w rubryce „Studja o sztuce w Polsce“ znalazły potwierdzenie w Monachjum, gdzie p. L. teraz stale mieszka. Oto w dzienniku „Münchener Nachrichten“ w nr. 202 czytamy: „Żaden z wystawionych w tym tygodniu obrazów nie jest tak epokowym (epochenmachend), abym się czuł zachęconym do szczegółowego opisu, z wyjątkiem może obrazu p. Leopolskiego, na którym artysta przedstawił mnicha czytającego. Kompozycja ta zajmuje jedno z pierwszych miejsc na wystawie tegotygodniowej, dzięki układowi, skończonej technice i głębokiej powadze, z jaką artysta zajął się swojem zadaniem. Technika Leopolskiego przypomina starych mistrzów hiszpańskich.“ Cieszy nas niewymownie, że krytyka zagraniczna oddała tak prędko słuszność naszemu rodakowi.

— Stefan Buszczyński przygotował do druku, jak donoszą „Szkice“ krakowskie, obszerne dzieło, pn: „Historja polskiego malarstwa.“ Z wielką ciekawością oczekujemy pojawienia się tej pracy.

— Nowe dzieło Wiktora Hugo, które w jesieni ma się pojawić, nazywa się: „L'art d' être grand pére.“ Po tem dziele wyjdą albo dwa nowe tomy „Légende des siécles,“ albo dwa inne tomy: „Quatre vents de l' esprit.“ Ostatnie składają się z czterech książek, z których każda jest napisana w innym stylu: satyrycznym, dramatycznym, lirycznym i epicznym.

— W Rzymie będzie utworzona bibljoteka centralna. W Collegio Romano znajdzie ona pomieszczenie, nazwaną zaś zostanie „Biblioteca Vittorio Emanuele.“ Zadaniem tej bibljoteki będzie zbierać dzieła nowe i zagraniczne, których brak daje się czuć oddawna uczonym włoskim. Zawiązek bibljoteki tworzy 66.000 tomów i 3.000 manuskryptów, które zostały ze zbiorów Jezuitów i 350.000 tomów zabranych w zniesionych klasztorach.

— Zbiór karykatur angielskiego rysownika Cruikshank, został sprzedany w Manchester za 50.000 guldenów. Artysta żyje jeszcze i mimo 83 lat niezmordowanie pracuje.

— Włoski dyplomata, markiz G. Pepoli, napisał dramat „Gabriella,“ który wkrótce będzie w Rzymie przedstawiony.

— Teatr wagnerowski w Bayreuth, w Bawarji, jest już ukończony i zaczęły się już w nim próby wielkich oper Wagnera, przy współudziale najpierwszych śpiewaków niemieckich. Salę teatralną oświetlać będzie 4,000 gazowych płomieni, a mianowicie, 2,500 scenę i 1,500 amfiteatr. Na wypadek pożaru urządzono cztery olbrzymie rozerwoary z wodą tak że w przeciągu kilku minut będzie można zalać wodą wszystkie zakątki teatru. W osobnym kotle wytworzoną będzie para, w celu wprawiania w ruch mechanizmów, oraz do naturalnego przedstawiania obłoków, mgły, tęcz itp. Ostatnie urządzenie pierwszy posiadać będzie teatr wagnerowski, dzięki nowowynalezionym aparatom, które przez sztuczne oświetlenie pary z łudzącą prawdą wytwarzać będą owe obrazy nadpowietrzne. Długość rur, użytych w teatrze, wodociągów i przewodników pary i gazu wynosi 2,000 stóp.

— Na Powązkach, na grobie znakomitej artystki warszawskiej, śp. Bakałowiczowej, stanie wkrótce kaplica, zbudowana staraniam wielbicieli jej talentu. Ściany kaplicy będą gustownie mozaikowane, a posadzka ułożona z bogatych i cennych marmurów.

— Geograficzny kongres paryski został już zamknięty. Ostatniemu posiedzeniu przewodniczył minister oświecenia, Wallon. Dwaj Polacy, jeden pod rubryką Rossji, drugi Austrji otrzymali medale 1ej klasy. Wygnaniec sybiryjski Czekanowski. i pułkownik jeneralnego sztabu austrjackiego Jan Rośkiewicz za swój znakomity aparat graficzny do mierzenia wysokości. Austrjacki arcyksiążę, Jan Salvator, otrzymał w VII. grupie podróży *lettre de distinction*. Niemieckich podróżników, Nachtigalla i Schweinfurtha, którzy długie lata spędzili w centralnej Afryce, tendencyjnie pominięto.

Zjawska natury.

— Dnia 17 bm. między godziną 4tą a 5tą z południa, czuć się dało we wschodniej Galicji lekkie trzęsienie ziemi, które w wielu miejscowościach trwało do trzech minut. We Lwowie nie zwracano na to uwagi, chociaż osoby mieszkające na wyższych piętrach, czuły jak kamienice pochylały się w kierunku od wschodu na zachód.

— Z guberni Nowogrodzkiej, powiatu Borowickiego, piszą do „Głosu“, że w powiecie tym znajdują się dwa jeziora Borowskie i Suche, obfitujące w ryby. Z jezior tych woda corocznie znika przez lejkowate otwory znajdujące się na dnie. Z początku woda wraz z rybami uchodzi bardzo powoli, co trwa około miesiąca; później szybkość ciągle stopniowo się zwiększa, przyczem nad lejkowatemi wgłębieniami tworzą się silne wiry. Jeziora są przez dwa miesiące zupełnie suche tak, że po dnie ich chodzić można. Po tym czasie, woda znów napływać zaczyna temiż samemi drogami, a wraz z wodą zjawiają się także i ryby.

Gospodarstwo.

— Międzynarodowa wystawa ogrodnicza w Kolonji, wypadnie bardzo świetnie. Wszystkie prawie państwa europejskie biorą w niej udział. Sto pierwszych firm francuskich przysyła swoje okazy. Wicekról Egiptu zapowiedział także 400 skrzyń z produktami swego kraju, tudzież jedną skrzynię z najdelikatniejszemi esencjami i perfumami.

— Kongres austjackich leśników odbędzie się we Wiedniu w drugiej połowie września rb.

— Wiadomości o urodzaju na buraki cukrowe, z Ukrainy, owej spiżarni na cukier, brzmią arcyniepomyślnie dla przemysłu cukrowniczego. Z początku lata brak deszczu groził zupełnem zniszczeniem buraków, które nadto uszkodziły niezmiernie robaki. Wprawdzie późniejsze deszcze poprawiły je cokolwiek, mimo to jednak w wielkich nawet dobrach, jak hr. B. gdzie istnieją cztery fabryki cukru, w tym roku trzy tylko będą w ruchu dla braku buraków.

Z medycyny.

— Pod tytułem: Migrena i jej leczenie, czytamy w wychodzącem w Paryżu czasopiśmie: „La Science pour tous“ artykuł następujący: „Mało mamy chorób tak częstych, tak widocznie nie niebezpiecznych ale i tak męczących jak migrena; ona rujnuje najzdrowszą naturę, czyni chorego niezdolnym do żadnej roboty, do żadnego zajęcia, a gdy przechodzi do perjodycznego stanu, co bardzo często się zdarza, to istnienie chorego staje się rzeczywiście godnem politowania. Cierpienia tak wielkie, iż trzeba ich doświadczyć, aby mieć o nich pojęcie; zdaje się, że głowa chce pęknąć; całe ciało wstrząśnięte, i często bywają womity, powiększające jeszcze cierpienia. Jeśli nie zupełnie jesteśmy pewni pochodzenia migreny, to przynajmniej wiemy rodzaj tej choroby. Wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy autorowie zgadzają się na to, że migrena jest prawdziwą newralgją porażającą nerwy głowy. Jeżeli zadowolnilibyśmy się tylko oznaczeniem migreny, to nie bardzo by pocieszyło nieszczęśliwych pacjentów dręczonych tą chorobą i to nie jest celem niniejszego artykułu. Na szczęście możemy ofiarować im coś lepszego; kurację, która najczęściej usuwa migrenę w przeciągu kilku minut, dowodząc przy tem, że choroba ta jest prawdziwą newralgią. Nie wyliczymy mnóstwa środków używanych przeciwko migrenie, które nie mając racji bytu, prędko poszły w zapomnienie. Leczenie tej choroby nie było należycie wyszukane i racjonalnie obmyślane. Przyjąwszy w zasadzie, że migrena jest rzeczywistą newralgją, należało sprawdzić czy najrzeczywistsze z wiadomych środków przeciw newralgji będą zbawczemi przeciw migrenie; sprawdziliśmy te środki i próba nam się udała. Wiedząc z praktyki, że terpentyna we wszystkich preparatach jest doskonałym środkiem przeciw newralgji, gdziekolwiek by się okazała, zastosowaliśmy kurację za pomocą terpentyny. Prawda, przyznać musimy, że nie wszystkie wypadki kuracji wypadły pomyślnie, (które lekarstwo skutkuje zawsze pomyślnie?) jednakże szczęśliwe rezultaty wypadły nadspodziewanie. Najprzód powiemy, że terpentyna nie może być używaną w rodzaju tynktury i syropu wskutek nieznośnego smaku, dawaliśmy ją w rodzaju pereł (perles). Maleńkie okrągłe perły, galaretowe kapsułe wielkości pigułki, zawierające pod cienką, przezroczystą powłoką, cztery do pięciu kropel essencji każda, wynalazku dr. Klertana. Można powiedzieć, że one przynoszą rzeczywistą usługę chorym, dając im możność bez trudności połykać tak nieznaczne lekarstwo. Z samego początku migreny, należy zażyć dwie lub trzy kapsułki esencji dr. Klertana, połykając je prędko jak pigułki, w łyżce wody. Najczęściej migrena znika w przeciągu 20—30 minut. Powtarzamy, że środek ten nie jest nieomylnym, ale na dziesięć wypadków udaje się 7—8 razy. To jest wystarczającem, aby proponować i radzić spróbować tym, którzy podlegają tej męczącej chorobie. Nie chcemy twierdzić, iż zrobiliśmy wynalazek, ale ograniczamy się przekonaniem, że wpadliśmy na szczęśliwą myśl mogącą przynieść użytek wielu osobom cierpiącym Dr. *Wallon.*

ROZMAITOŚCI.

— Nie jeden, patrząc na piękne mahoniowe sprzęty zdobiące jego salon, nie domyśla się nawet, ile trudów kosztowało zdobycie tego drzewa, jakiemi drogami przemysł dochodzi do wyszukania i sprowadzenia tego cen-

nego materjału. Sądzimy więc, że nie będzie bez interesu dla czytelników naszych zebrać o tem trochę szczegółowych wiadomości. Piękność mahoniowego drzewa miał odkryć pierwszy w r. 1505 cieśla okrętowy na statku Walter Raleigh, stojącym podówczas na kotwicy w zatoce wyspy Trinidad. W nowszych czasach Jamajka dostarczała najlepszego mahoniu, który i dzisiaj jeszcze, pomimo swego wieku, za najwyborniejszy uważanym bywa. Wartość jego zależy od gruntu, na którym drzewo rośnie. Na wysoko położonych, kamienistych miejscach, kędy zdawałoby się, że korzenie nie mogą mieć żadnego pokarmu, udaje się to drzewo najlepiej; w niskich zaś i błotnistych okolicach rosnące mahonie, pomimo obfitości, są zawsze gorsze, tj. lżejsze, bardziej dziurkowate i jaśniejszej barwy. W Honduras uważają wiek 200 lat za niezbędny, ażeby drzewo to na coś się przydało i roboty około niego rozpoczynają w Sierpniu. Robotnicy używani do zrąbywania mahoniu wyruszają zwykle kompanjami po dwadzieścia do 50 osób w lasy. Przy każdej takiej kompanji znajduje się nadto myśliwiec, zwykle najzręczniejszy i najobrotniejszy człowiek, którego głównym obowiązkiem jest przeszukiwać lasy i rozdzielać pracę pomiędzy robotników. Z początkiem sierpnia wychodzi ów myśliwiec z ważną misją swoją, z którą się łączą niezmierne trudności, przedziera się on przez najbardziej zbite gęstwiny aż do najwyższego punktu lasu i tu wdrapuje się na najwynioślejsze drzewo, aby z jego szczytu rozejrzeć się po okolicy. W tej porze roku liście mahoniu przybierają żółto-czerwonawą barwę, i tym sposobem dają możność wyćwiczonemu, doświadczonemu oku znawcy, odkrycia z oddali gdzie największa obfitość tych drzew się znajduje. Upatrzywszy takie miejsce, dąży na nie myśliwy przez nieprzebite prawie lasy dziewicze, bez kompasu lub jakiejkolwiek innej wskazówki okrom pamięci, i rzadko żeby się zabłąkał. Częstokroć musi cały spryt swój wysilić, ażeby dotrzeć do tak upatrzonego miejsca, a przedewszystkiem, ażeby uprzedzić konkurentów, którzy się wybrali w tym samym celu. Ci bowiem nieraz podążają w jego tropy. Ażeby więc temu zapobiedz, zachowywać musi najwymyślniejsze ostrożności, zacierać najdrobniejsze ślady swojego przejścia; — to jest rzeczą niezmiernie trudną; dla szpiegujących go bowiem współzawodników zgięcie ździebła trawki, złamana gałązka są już dostateczną wskazówką jego śladów. Gdy zaś już wreszcie znalazł szczęśliwie ukryty ów skarbiec mahoniowy i objął w posiadanie, sprowadza robotników i rozpoczyna się ścinanie drzew. Zwyczajnie zrębują mahoń na dziesięć do dwunastu stóp nad ziemią. Niższa część pnia używaną bywa do grubszych rzeczy, przeznaczonych aby więcej wytrzymały, wyższa zaś i gałęzie do delikatniejszych i artystyczniejszych wyrobów, ponieważ rdzeń tam silniejszy a słoje są wyraźniejsze i piękniejszej barwy. Gdy wreszcie drzewa ścięto, rozpoczyna się najtrudniejsza i najżmudniejsza część pracy: przerąbania drogi przez las do transportu. Składy drzew mahoniowych tworzą zwykle rodzaj wioseczek, położonych nad brzegiem rzek, rozumie się jak najbliżej punktów, gdzie drzewo znajduje się w obfitości. Domki w tych wioskach powstają często w ciągu jednego dnia i to bez pomocy innego narzędzia oprócz siekiery. Gdy drogę przez las przerąbano, usunięto drzewa i krzaki, wyrównano grunt, co zwykle odbywa się w Grudniu, wówczas zaczyna się rozpiłowywanie mahoniu na części, przyczem głównie starają się, ażeby te części były równej długości dla ułatwienia ładunku i utrzymania równowagi na wozach. Największy kloc, jaki upiłowano w Honduras mierzył 17 stóp długości, 54 cale szerokości a 64 cale wysokości. Po skończeniu piłowania, jeżeli pogoda sprzyja, przystępują robotnicy do przewozu drzewa, zwykle w Kwietniu lub Maju, w innej bowiem porze ziemia zbyt jest wilgotną i grząską, ażeby tak wielkie ciężary unieść mogła. Ponieważ jednak i tak deszcz jeszcze może zaskoczyć robotników, i zniweczyć wszystkie ich starania przez popsucie dróg, z największym więc pośpiechem odbywa się zwózka ku rzece, mimo że tylko noce posłużyć ku temu mogą, w dzień bydło pociągowe skwaru bowiem znieść nie zdoła. Gdy pnie dowieziono do rzeki, rzucają je w wodę naznaczywszy pierwej cyframi właściciełi i wracają po nowy ładunek. Praca ta jest bardzo osobliwem w swoim rodzaju widowiskiem. Widzi się przestrzeń ćwierćmilową zajętą przez sześć wozów, za którymi postępują całkiem obnażeni robotnicy każdy z latarnią w ręku. Dodajcie do tego dzikość dziewiczego lasu, turkot i brzęk łańcuchów, trzask biczów, światła, gwar i ruchawicę pełną życia w pośród cichej, uroczystej nocy — a będziecie mieć pełny obraz. Przy końcu Maja zaczynają się perjodyczne ulewy, przewózka ustaje — bydło wypędzają na pastwiska. Bezustanku aż do połowy Lipca leją deszcze, rzeki wzbierają do zadziwiającej wysokości i sztuki mahoniu płyną setki mil angielskich aż do miejsc oznaczonych na wylądowanie — a obok nich płyną robotnicy na płaskich łodziach, dla dopilnowania drzewa w drodze i oczyszczenia go na miejscu z korzeni, gałęzi i innych przydatków, które się w podróży do niego przyczepiły. Wreszcie drzewo przychodzi do celu, właściciele wybierają swoją własność wedle znaków, i biorą na skład. Tu następuje jeszcze ostateczny przegląd mahoniu i wygładzenie sztuk, uszkodzonych przy spławianiu przez uderzenie o skały, tarcie itd. — a następnie ładują drogi towar na okręty. — Drzewo mahoniowe dochodzi do wysokości 80 — 100 stóp a przecięcie jego wynosi 18 cali. Kora jego ma smak gorzki i własności ściągające, tak że częstokroć za surrogat Chiny jej używają. Z nasion otrzymuje się olej o własnościach przeczyszczających.

— Jednym z rzadkich ludzi, „którzy żyli w trzech stuleciach" był niejaki Franciszek Hupazoli. Urodził się on w roku 1587 w Casale na terytorjum sardyńskiem, a umarł w 1702. Z początku był duchownym — a następnie — od 82 roku swojego życia, mieszkał na Scio w charakterze konsula weneckiego. Z pięciu małżeństw miał 24 dzieci. Pił tylko wodę, nigdy nie palił tytoniu, a jadł jedynie dziczyznę i owoce. Oprócz tego używał często soku z drzew za napój. Na wieczór nie przyjmował nigdy żadnego pokarmu, kładł się wcześnie i tak samo wstawał, szedł na mszę, przechadzał się, a następnie pracował do późna. Tak przeżył całe życie. Spisał 22 tomach wszystkie osobliwości jakie mu się w ciągu tak długiego życia zdarzyły. Nigdy nie doznał gorączki, krwi nie upuszczał ani używał lekarstw. W setnym roku życia jeszcze robił po 4 mile drogi bez spoczynku. W 109 roku życia stracił zęby i od tej pory żywił się polewką. W cztery lata później urosły mu dwa wielkie nowe zęby. Zaczął więc znowu jeść mięso.

— Jedna z gazet angielskich podaje kilka ciekawych szczegółów o znanym już czytelnikom naszym i okrzyczanym wynalazcy przyrządu pływackiego, kapitanie Boytonie, Amerykaninie. Szczegóły te, odnoszą się szczególniej do zachowania się jego w obec królowej Wiktorji, która jak wiadomo mocno się nim i jego wynalazkiem zajmowała. Boyton, — powiada dziennikarz angielski — stał się pierwszej wielkości bohaterem dnia, nie tyle z powodu, iż mu się udało bezprzykładne przedsięwzięcie przepłynięcia sześć mil (polskich) szerokiego kanału pomiędzy Francją i Anglją, ile dla tego, iż wezwany przez królowę Anglji na wyspę Wight, zachował się względem niej i jej córek, jak wolny i szlachetny człowiek. Po przyjrzeniu się mu, gdy w stroju swoim pływając, wiosłując, jedząc, pijąc, paląc i czytając „Timesa„ panem fal się okazał — królowa zamówiła u niego podobną odzież pływacką dla swojego prywatnego okrętu. Następstwem tego było, iż zasypano go prawie takiemiż zamówieniami. Prawdopodobnie powstanie nowy rodzaj przemysłu, zajmujący się sporządzaniem stroju pływackiego Boytona — szczególniej po tak przerażających wypadkach, jak ostatni z parowcem „Schiller". Otóż, wracając do naszego bohatera, w końcu Maja odbył on nowy kurs pływacki z Francji do Anglji w 24 godzinach. Te dwie próby dowiodły dostatecznie wartości jego przyrządu i postawiły go w rzędzie najznamienitszych dobroczyńców ludzkości. A jednak niktby się nie domyślił, widząc go przed sobą, że ma do czynienia z takim genjuszem w swoim rodzaju. Jest to dorodny, prosty, nie tknięty strychulcem cywilizacji, szczery i wolny młodzieniec. Brat jego, sprytny, nader biegły w piórze i języku Yankee's, niewątpliwie wybornie potrafi wyzyskać jego wynalazek — na korzyść ich wspólną; on sam zdaje się mało o to troszczyć. Jak mało dba o pozory i łaskę możnych, najlepiej okaże jego zachowanie się w obec królowej Wiktorji i jej córek, tak szorstkie i naiwne — które jednak obróciło mu się na wielki pożytek. Gdy się produkował w obec tych dostojnych osób, zwracała się do niego kilkakrotnie księżniczka Beatryks z zapytaniami, na które on odpowiadał przez proste y e s s, lub n o M i s s. Wyższego jakiegoś tytułu dla księżniczek nad M i s s a dla królowej nad M a d a m e nie znał, lub też uważał go może za niepotrzebny zbytek. Jeden z obecnych dworzan, odezwał się półgłosem do królowej, aby przebaczyła grubjaństwu tego Amerykanina, który nie wie o szacunku przynależnym królewskiej dostojności. Posłyszał to Boyton i zawołał; „Pani, w tem miejscu i w takiej odzieży, w jakiej tkwię obecnie niemożna nic lepszego odemnie oczekiwać!" Na te słowa królowa i jej córki wybuchnęły głośnym śmiechem. I zaiste było to prawdziwie komiczną rzeczą wymagać od genjalnego pływaka, gospodarującego w falach, które go zalewały po szyję, wysoko etykietalnych grymasów i galanteryj. Długo jeszcze po przedstawieniu się królowej, dziwił się Boyton zewnętrznemu pozorowi tej potężnej monarchini. Jako Amerykanin nie widział nigdy przedtem żadnej panującej głowy i wyobrażał sobie każdą taką jako coś niezmiernie majestatycznego i błyszczącego. Tymczasem ujrzał naraz przed sobą ów majestat pojawiający się w postaci maleńkiej, zażywnej, uprzejmie uśmiechniętej, matulkowato wyglądającej i o wiele skromniej ubranej od całego swego otoczenia matrony. Po odbytej produkcji, wydostawszy się ze swego kostjumu, Boyton zaproszony został po raz drugi do królowej. Najsztywniejsze nawet damy dworskie uśmiechnąć się musiały, ujrzawszy przed sobą jego promieniejącą i kwitnącą jak pełny księżyc fizjognomię, z głową pokrytą krótkim najeżonym włosem, sterczącym jak zużyta i starta miotełka. On jednak bez najmniejszej niezręczności lub zakłopotania odpowiadał na wszystkie zapytania, jak prawdziwy, zdrowy amerykański młodzian, który majestatów nigdy nie widział ani o nich nie słyszał. Królowa uradowana widokiem tego niewylizanego jeszcze przez fałszywą ogładę młodzieńca, wskazywała go wszystkim jako wzór dzielnego i szlachetnego mężczyzny. Wszystkie oznaki czci i życzliwości najwyższych dostojników, sypiące się na niego gradem, ani na chwilę nie wytrąciły go z jego spokojnej i dumnej równowagi. Większa to sztuka, aniżeli wynaleźć najgenjalniejszy aparat!

— Mieszkańcy Australji umieją w nader oryginalny sposób wyśledzać ule dzikich pszczół, których Europejczycy napróżno po tamtejszych lasach szukają. Australczycy czatują na pszczoły, gdy te przylecą pić wodę i następnie idą w ślad za niemi aż do ich ula. Ażeby jednak ten ślad pochwycić, tak postępują: Przybywają do jakiejś małej, stojącej wodą, biorą jej nieco w usta i kładą się nad nią, w ten sposób, iż tylko głowa trochę nad wodą się wznosi. W tej pozycji czekają nieruchomie, aż zjawi się jaka pszczółka nad wodę. Lata ona najprzód tu i tam, z tej i z owej strony głowy czatownika, brzęczy bacznie patrzącemu na nią tuż koło ucha, to znowu przed oczyma; łowiec pszczół jednak, pomimo to wszystko, pozostaje nieruchomym, aż wreszcie pszczoła spuszcza się nad samą wodę i odmianą brzęku wskazuje, że ma się napić. Wówczas nasz czatownik pryska nagle wodą z ust na zwierzątko i zanim ono po tej niespodzianej kąpieli przyjdzie do siebie, chwyta je zręcznie za skrzydła i robi sobie zeń przewodnika, przez przyczepienie do korpusu pszczoły pęczka dzikiej, mocno zbitej wełny — za pośrednictwem pewnej żywicznej wilgoci. Ladwo wypuszczona, ucieka pszczoła i dąży do swego drzewa gumowego, ale ów pęczek wełny nie dozwala jej prędkiego lotu. Tak więc może nasz myśliwiec, mając ją ciągle na oku, iść tuż w ślad za nią i wypatrzywszy wreszcie jej schronienie, wyciąć z dziupli drzewnej ile chce plastrów miodu, jako zasłużoną nagrodę swej zręczności. Często jednak wzięte takim fortelem pszczoły mszczą się prawie śmiertelnie, na zuchwałym rabusiu ich pracy.

Treść Nr. 34.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).